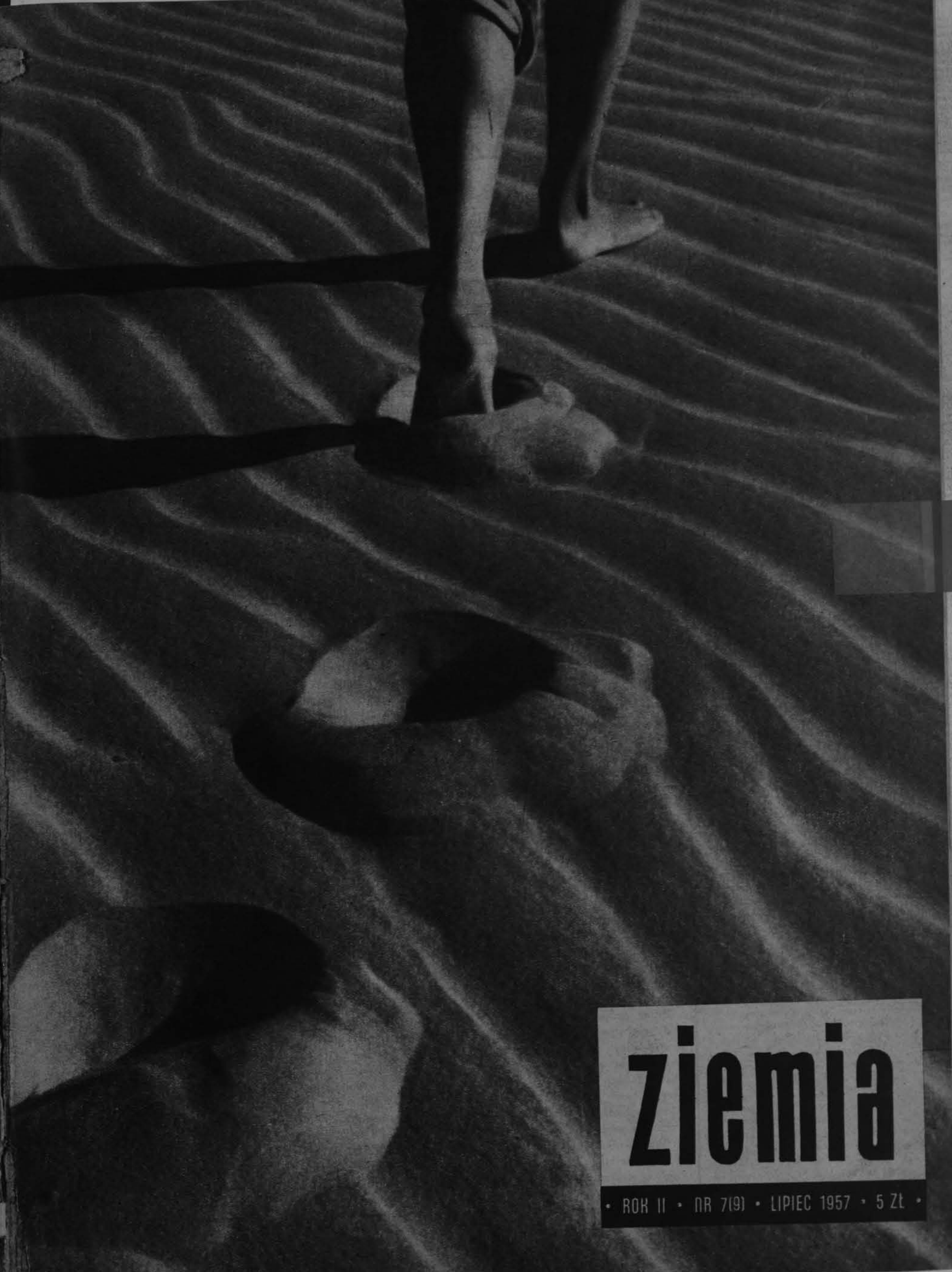




ziemia

• ROK II • NR 7(9) • LIPIEC 1957 • 5 ZŁ •

przedstawia fragment plaży w Łebie. Na stronie 16—17 znajdziecie reportaż fotograficzny Wacława Nowaka, ilustrujący oryginalne piękno tej okolicy.



W NASTĘPNYM NUMERZE m. in.:
SPACER PO DNIĘ BAŁTYKU
DZIEJE KOMPASU
TURYSTYCZNA KARIERA
O WILKU MOWA

WARUNKI PRENUMERATY

Prenumeratę na III kwartał br. (i następne) przyjmują placówki pocztowe, listonosze, centrala „Ruchu” w Warszawie, Srebrna 12 (konto PKO dla wpłat 1-6-100 024) oraz oddziały „Ruchu” w W-wie, w miastach wojewódzkich i powiatowych TYLKO DO 10 — MIESIĄCA POPRZEDZAJĄCEGO NOWY KWARTAŁ.

Warunki prenumeraty — kwartalnie 15 zł, półrocznie 30 zł, rocznie 60 zł.

Czytelnicy posiadający krewnych lub znajomych za granicą mogą zaprenumerować nasze pismo za zleceniem wysyłki za granicę w P.K.W.Z. „Ruch”, Warszawa, ul. Wilecza 46, tel. 864-84, wewn. 69 (nr konta PKO I-6-100 024). Prenumerata zagraniczna — kwartalnie 19,50 zł, półrocznie 39, rocznie 78 zł.

Poprzednie numery „ZIEMI” nabycy można w sklepach antykwarecznych „Ruchu” w Warszawie przy ul. Wiejskiej 14 i Puławskiej 108, oraz zamawiać listownie w centrali „Ruchu”, ul. Srebrna 12, Dział Sprzedaży Prasy Antykwarecznej.



— ilustrowany miesięcznik krajoznawczy, organ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWczego. Przewodniczący komitetu redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BURCHARD, zast. red. nac. — JANUSZ GRZYBOWSKI, sekr. red. — LESZEK DZIĘGIEL, red. działu — MARIAN KORNECKI, układ graficzny — ZBIGNIEWA ŁAGOCKIEGO. Tymczasowy adres redakcji: Kraków, plac Wiosny Ludów 8, tel. 571-04. PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE, Oddział w Krakowie, Smoleński 14, tel. 596-76. Nakład 20.186 egz. Pap. rot. 70 g. Do składania 6. VII. 1957 r. Podpisano do druku 30 lipca 1957 r. Druk ukończono w sierpniu 1957 r. Zam. 401/57. M-13

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

PROBLEM ZAPORY W KAZIMIERZU

Aleksander Łaski



Autor artykułu, 28-letni inżynier hydrotechnik, jest kierownikiem pracowni warszawskiego „Hydroprojektu” i zajmuje się zagadnieniem wykorzystania energii wód Wisły.

Czy budować zaporę w Kazimierzu Dolnym? Odpowiedź na to pytanie dać muszą nie tylko hydrotechnicy i ekonomiści, lecz również ci wszyscy, którzy ukończyli piękno ojczyzny.

Zadanie ujarzmięcia całej Wisły i oddania jej energii w służbę człowieka przerasta siły jednego pokolenia. Może w innej, korzystniejszej sytuacji gospodarczej byłoby to możliwe. Obecnie, gdy tyle jest potrzeb, gdy tyle problemów nie rozwiązanych czeka wokół, skoncentrowanie wielkiego wysiłku na tym odcinku naszej gospodarki jest chyba — mimo najszczerzych chęci hydrotechników — niemożliwe.

Stwierdzenie to nie jest pesymistyczne. Zdanie sobie sprawy, z ogromu oczekującej pracy nie znaczy wcale, że nie należy zacząć jej już dziś. Budownictwo wodne może i musi wkroczyć na Wisłę już teraz, w takim zakresie, na jaki pozwolą realne możliwości budżetowe i materiałowe.

A że te możliwości nie są zbyt wielkie, trzeba się zastanowić, co budować najpierw. Właściwą odpowiedź może dać tylko gruntowna orientacja, ocena kosztów i zysków w oparciu o rzetelną koncepcję.

W latach 1952—1954 opracowano studium wykorzystania Wisły. Po raz pierwszy zarysował się ogólny schemat przyszłej zabudowy naszej rzeki. W dalszych latach opracowano bliżej te fragmenty, których realizacja jest najkonieczniejsza i najbardziej realna.

Prace projektowe skoncentrowały się więc w rejonie Wisły krakowskiej, w warszawskim węźle wodnym oraz na odcinku Wisły dolnej. W każdym z tych przypadków dominuje pewien czynnik: bądź żegluga i zaopatrzenie w wodę, jak na przykład na Wiśle krakowskiej, bądź stworzenie wielkiego źródła taniej energii elektrycznej — jak na odcinku Wisły dolnej.

Problem zapory i zbiornika

wodnego w Kazimierzu Dolnym nie doczekał się dotąd bliższego opracowania, mimo iż zasługuje na to zarówno ze względu na jego znaczenie dla gospodarki, techniki jak i dla oblicza regionu.

Wytłumaczeniem tego pozornego braku zainteresowania mogą być w pewnym stopniu: poważna suma przewidywanych kosztów, budząca wątpliwość co do szans realizacji tej dużej inwestycji, trudności techniczne, a wreszcie pewna obawa przed przemianą krajobrazu ukształtowanego przez przyrodę w ciągu tysiącleci i nadaniem mu form zupełnie nowych.

Wobec wagi zagadnienia wydaje mi się celowe oświetlić je nieco bliżej. Może wywoła to dyskusję, która wniesie nowe myśli i argumenty za lub przeciw.

Pasjonujące fachowców problemy techniczne i gospodarcze mogą nużyć czytelników, postaram się więc ograniczyć je do koniecznego minimum. Uwagę skoncentruję na wyjątkowo w tym wypadku ważnym zagadnieniu przemiany krajobrazu — wkroczeniu techniki w przyrodę.

Opracowana koncepcja przewiduje budowę zapory przegradzającej koryto Wisły nieco powyżej Kazimierza Dolnego, w rejonie starego spichrza odbudowanego jako schronisko PTTK. Wąska w tym miejscu dolina Wisły tworzy jakby przełom ściśnięty z dwóch stron pasmami wzgórz. Daje to wyjątkowo korzystne warunki budowy. Zapora o długości zaledwie jednego kilometra zamykałaby całą dolinę Wisły i piętrzyła wody na wysokość blisko 25 metrów.

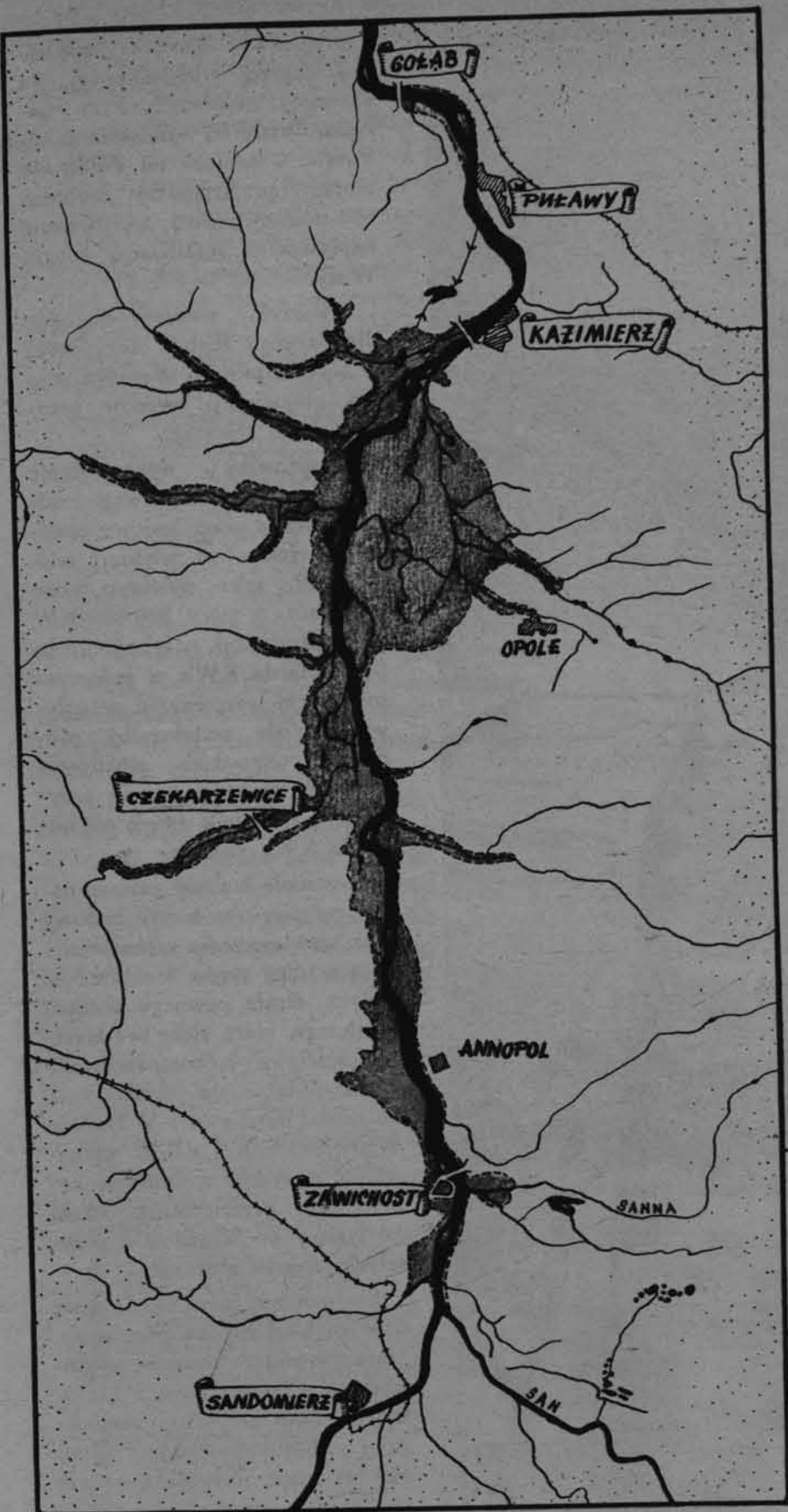
Śpiętrzone wody utworzyłyby potężny zbiornik wodny o pojemności blisko 6 miliardów m³ sięgający od Kazimierza po Sandomierz na Wiśle i po Radomyśl na Sanie. Powierzchnia zbiornika po zbudowaniu obwałowań ochronnych (dla uniknięcia płytkich zalewów) wynosiłaby 465 km², a bez tzw. „stopni odcinających”

w Zawichoście na Wiśle i Czekarzewicach na Kamiennej — około 415 km². Największa szerokość zbiornika, nie uwzględniając zalewów w dolinach dopływów — dochodziłaby do 14 km. Długość zbiornika od zapory do stopnia odcinającego w Zawichoście — około 70 km, a dołączając odcinek stopnia Zawichost — prawie 100 km.

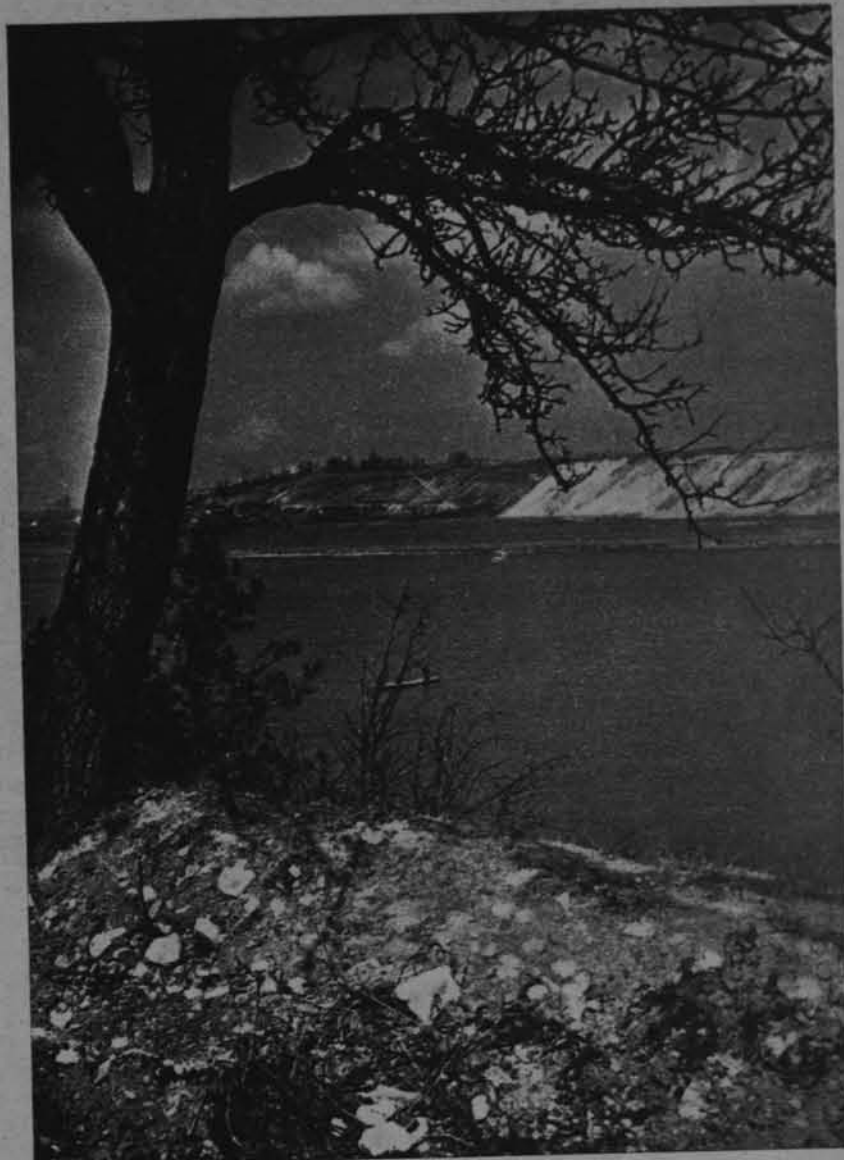
Jak widać z powyższych cyfr, powstałoby w dolinie Wisły małe „morze śródlądowe” o licznych dopływach, bo prócz Wisły i Sanu uchodziłyby bezpośrednio do zbiornika: Opatówka, Kamienna, Krępianka, Hżanka, Zwoleńka, Sanna, Wyżnica i Chodel.

Nasuwa się pytanie, po co tworzyć tak kolosalny zbiornik, zalewać paręset kilometrów kwadratowych ziem (około 330 km² z 465 zalewanych musiałoby być objętych wyłączeniem, resztę stanowią obszary międzywala Wisły i dolin dopływów).

Czy nie ma innych możliwości zabudowy tego odcinka Wisły? Naturalnie, są. Trzeba jednak pamiętać o zasadniczym celu, jakim miałby służyć zbiornik Kazimierz, a jest nim wyrównanie przepływów Wisły, zmagazynowanie wód powodziowych i tym samym likwidacja groźby powodzi. Budowa zbiorników wodnych na karpaccich dopływach Wisły, bezwzględnie konieczna choćby dla ochrony dolin tych dopływów, nie rozwiązuje całkowicie powyższych zagadnień. Natomiast zbiornik Kazimierz, dysponujący użyteczną pojemnością około 2,5 miliarda m³ pozwoli całkowicie wyrównać odpływy Wisły i usunąć niebezpieczeństwo powodzi na Środkowej i Dolnej Wiśle. Osiągnięcie tych samych efektów przez budowę zbiorników na rzekach karpaccich lub w górnym biegu Wisły jest prawie niemożliwe a wymagałoby wielokrotnie większych nakładów inwestycyjnych. Tak wielka pojemność użyteczna zbiornika Kazimierz stanowiąca jego główną



1



2

1 Mapka zalewu na Wiśle, który miałby powstać między Kazimierzem Dolnym a Zawichostem w wyniku spiętrzenia wód przez zaporę w Kazimierz.

2 Wiśła pod Kazimierzem.

Fot. Mirosław Raczkowski

3 Fragment portalu kamienicy Celejowskiej w Kazimierzem Dolnym.

Fot. Wiesław Tomasziewicz

4 Ruiny zamku Firlejów w Janowcu nad Wisłą. Gdyby zbudowano zaporę, zamek ten znalazłby się na półwyspie.

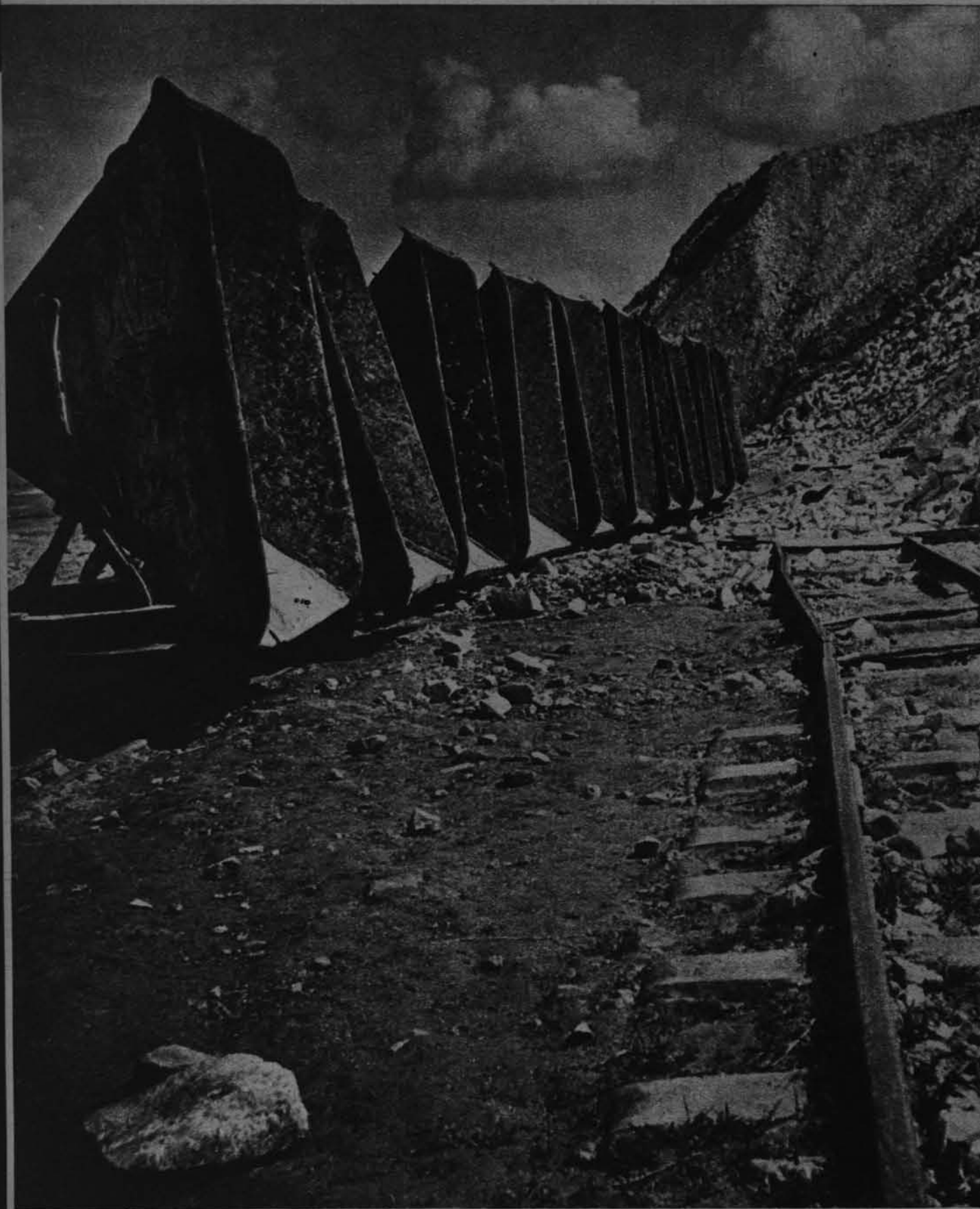
Fot. Wiesław Tomasziewicz

3



4





Kamieniolom w Kazimierzu Dolnym.
Fot. Mirosław Raczkowski

Z prawej — studnia na rynku w Kazimierzu.
Fot. W. Tomaszewicz

zaletę, pociąga jednak za sobą drugi problem, który obok kwestii zatopienia dużych obszarów, interesować będzie szczególnie miłośników krajobrazu.

Powstaje mianowicie tzw. „warstwa wahań zbiornika” o wysokości około 6 m, co powodować będzie okresowe odsłanianie się części zatopionych obszarów. Pomimo zastosowania obwałowań chroniących tereny, gdzie zalew byłby płytki, oraz pomimo wprowadzenia na Wiśle oraz na największym jej dopływie — Kamiennej stopni odcinających — obszar odsłaniany sięgałby wielkości około 70 km². Zmiany poziomu wody, wobec ogromu

zbiornika następowałyby powoli, na przestrzeni nieraz lat, niemniej jednak odsłaniane powierzchnie pokryte osadzonymi namulami byłyby pewnym zgrzytem w pięknym krajobrazie naszego „morza”. Odsłonięcia terenów występowałyby głównie w dolinach dopływów, gdyż na szczęście dolina Wisły od Solca do Zawichostu oraz zasadnicza część przyszłego zbiornika w rejonie Kazimierz-Opole oraz Janowiec-Solec mają dość strome brzegi. Dla uniknięcia przykrych skutków odsłonięcia większych obszarów zaprojektowano wspomniane już uprzednio „stopnie odcinające” w Czekarzewicach

i Zawichoście. Zadaniem tych budowli jest utrzymanie w partiach końcowych zbiornika stałego poziomu wody, niezależnie od jego wahań w głównym zbiorniku.

Można stwierdzić ogólnie, że zbiornik Kazimierz dałby gospodarce narodowej poważne korzyści:

Wyrównałby przepływy Wisły, zapewniając pobór wody na potrzeby rolnictwa, miast i przemysłu, oraz stwarzając właściwe warunki dla stabilizacji koryta rzeki.

Zabezpieczyłby dolinę Środkowej i Dolnej Wisły raz na zawsze przed grozą powodzi.

Stworzyłby warunki swobodnej żeglugi 1000-tonowej na przeszło stu kilometrowym odcinku Wisły od Sandomierza do Puław, a odcinek od Puław do morza uprzystępniałby żegludze 600-tonowej przez wyrównanie odpływów i stabilizację koryta Wisły.

Stworzyłby warunki dogodne dla rozwoju żeglugi miejscowej w obrębie samego zbiornika oraz dla aktywizacji terenów przyległych do zbiornika.

Umożliwiłby wykorzystanie energii 100-kilometrowego odcinka Wisły przez budowę szczytowej elektrowni wodnej, największej, jaka powstać może w Polsce, o mocy 300 000 KW oraz produkcji rocznej blisko pół miliarda KWh, a jednocześnie dzięki wyrównaniu przepływów Wisły zwiększyłby produkcję wszystkich elektrowni wodnych budowanych w przyszłości na Wiśle o drugie pół miliarda KWh rocznie.

Po stronie kosztów zapisać należy po pierwsze koszty budowy oraz wywłaszczenia terenów sięgające sumy rzędu 4 miliardów złotych, stratę pewnego obszaru rolniczego, która może być zresztą częściowo zrekompensowana przez oddanie do użytkowania obszarów międzywala w Dolinie Wisły Środkowej dzięki opanowaniu powodzi, a wreszcie konieczność przesiedlenia około 50 tysięcy mieszkańców z przyszłych terenów zbiornika.

Elementami, które nie dają się ująć rachunkiem, są przemiany, jakie spowoduje zbiornik w stosunkach klimatycznych i krajo- brazie. Oto przykłady najbardziej charakterystyczne. Rzut oka na mapę pozwala odnaleźć trzy punkty: rejon spiętrzenia — Kazimierz Dolny, sąsiadujący z nim Janowiec i położony przy końcu zbiornika — Zawichost.

Kazimierz Dolny, sięgający tradycjami do początków XIV w. przeżywał wiele wzlotów i upadków, od szczytu rozwoju i rozkwitu na przełomie XVI i XVII w. do zupełnego prawie zniszczenia w końcu XIX w. Dziś Kazimierz jest miejscem wypoczynku, celem wycieczek turystów podziwiających ocalałe zabytki i piękno krajobrazu. Budowa zapory wniosłaby tu nowe życie, nie burząc nic z ocalałych śladów przeszłości. Perspektywę przełomu Wisły zamknąłby maszyn zapory ziemnej opadającej łagodnym zielonym stokiem ku miastu. Po przeciwnej stronie Wisły skryłaby się w skalach wapiennych potężna podziemna siła-

nia wodna, źródło energii wysyłanej stąd w świat siecią linii wysokiego napięcia. Zabytkowy i pięknie położony Kazimierz, mając dobre połączenie z Warszawą stałby się wielkim ośrodkiem turystyki i jedną z baz sportów wodnych. Na szczycie blisko 30-metrowej zapory łączącej oba brzegi, z przebiegającą tamtędy szosą, otworzyłby się szeroki widok z jednej strony na ogromną taflę zbiornika, z drugiej na łuk Wisły i rozłożone u stóp zapory miasto — znowu tętniące życiem.

Promem przepływa się dziś Wisłę, by dotrzeć z Kazimierza do Janowca. Droga przez miasteczko prowadzi nas na wysoką skarpcę do zamku Firlejów. Ten — jeden z piękniejszych naszych zamków — jest dziś już ruiną chylącą się ku zupełnemu zniszczeniu. U stóp jego rozłożyło się miasteczko z pięknym starym kościołem.

Budowa zbiornika w Kazimierzu różną przyniosłaby im przyszłość. Miasteczko wraz z kościołem znikłoby pod 20-metrową warstwą wody, zamek znalazłby się na cyplu wysokiego brzegu z trzech stron otoczony wodą.

Wobec swego położenia mógłby być wykorzystany po przeprowadzeniu odbudowy jako siedziba kierownictwa budowy zbiornika i nadzoru, a później służyłby jako przepięknie położona baza wodniackich wypraw.

Zawichost w projektach Kazimierskiego zbiornika miałby zupełnie specjalną przyszłość — stałby się półwyspem. Jako miejsce przejścia drogowego przez Wisłę (droga przebiegałaby przez stopień w Zawichoście), krańcowy punkt zamykający zbiornik Kazimierz, baza sportów wodnych, turystyki i żeglugi, przepięknie położony na wzgórzu wcinający się łukiem w taflę wód zbiornika, nabrałby Zawichost nowych barw i nowego rozmachu. Stałoby tu otworem pole dla urbanistów, którzy by we współpracy z hydrotechnikami mogli wydobyć wszystkie efekty i walory jego położenia.

Te trzy krótkie przykłady wykazują, że znane nam miejsca i okolice nabrałyby zupełnie nowych cech, a przyczyną i najbardziej istotnym elementem wszystkich przemian byłaby wielka, szeroko rozlana tafla wód zbiornika Kazimierskiego.

Czy istniał szlak bursztynowy



Wspominając o bursztynie niemal każdy autor pracy popularnej uważa za swój obowiązek uraczenie czytelnika opowieścią o tym, jak to przed wiekami Rzymianie, a jeszcze dawniej Grecy wędrowali bursztynowym szlakiem na północ po „jantar”, przywożąc w zamian mieszkańcom północy swoje wyroby. Skąd się wzięła ta opowieść? Otóż podstawą hipotezy, zakładającej istnienie tego „szlaku” stało się w roku 1885 odkrycie gdańskiego aptekarza Holma. Podał on analizie bursztyny znalezione w grobach mykańskich i stwierdził, że były one pochodzenia bałtyckiego. Nietrudno było już wtedy dorobić resztę. Bursztyn wędrował na południe a na północ, tym samym szlakiem — metale. „Wiadomości te weszły jako niezmienna treść do podręczników i do prac popularnonaukowych jako nie uzasadnione na nowo twierdzenie” — pisze C. A. Moberg, autor ciekawych rozważań na temat bursztynu, publikowanych w szóstym zeszycie „Postępów Archeologii”. Przytacza on cały szereg prac ogłoszonych w latach 1908—1949, których autorzy wysuwają zastrzeżenia w stosunku do hipotezy „szlaku bursztynowego”, albo przedstawiają zupełnie nowe koncepcje importu. Między innymi dowiadujemy się, że w południowej Rosji znajdowały się złoża bur-

sztynu, mającego te same właściwości co bałtycki. Podobny bursztyn mógł pochodzić także i z Rumunii lub z angielskich wybrzeży Morza Północnego. Niektórzy uczeni włoscy rozważają możliwość importowania z Sycylii bursztynu, z którego wykonane były wyroby etruskie.

Kwestię pochodzenia znajdowanego w wykopaliskach starożytnych bursztynu tważy Moberg za nadal otwartą. Jego zdaniem dopiero nowoczesne przeprowadzone badania struktury i składu chemicznego bursztynu, porównane z wiadomościami geologicznymi mogłyby pozwolić na jakieś pewniejsze stwierdzenia.

Trudno przewidzieć jakie będą wyniki takich badań, o ile zostaną one przeprowadzone. Być może zwolennicy „szlaku bursztynowego” uzyskają nowe dowody jego istnienia a może hipoteza ta stanie się jedną z tych anegdot, którym początek dały dziewiętnastowieczne teorie naukowe. W każdym razie jedno w tej chwili jest pewne: fakt zakwestionowania przez poważnego uczonego poglądów tak (zdawałoby się) ugruntowanych powinien zachęcić autorów prac popularnych do dużej ostrożności w powtarzaniu cudzych hipotez, no i oczywiście do korzystania tylko ze źródeł najnowszych. (P. S.)

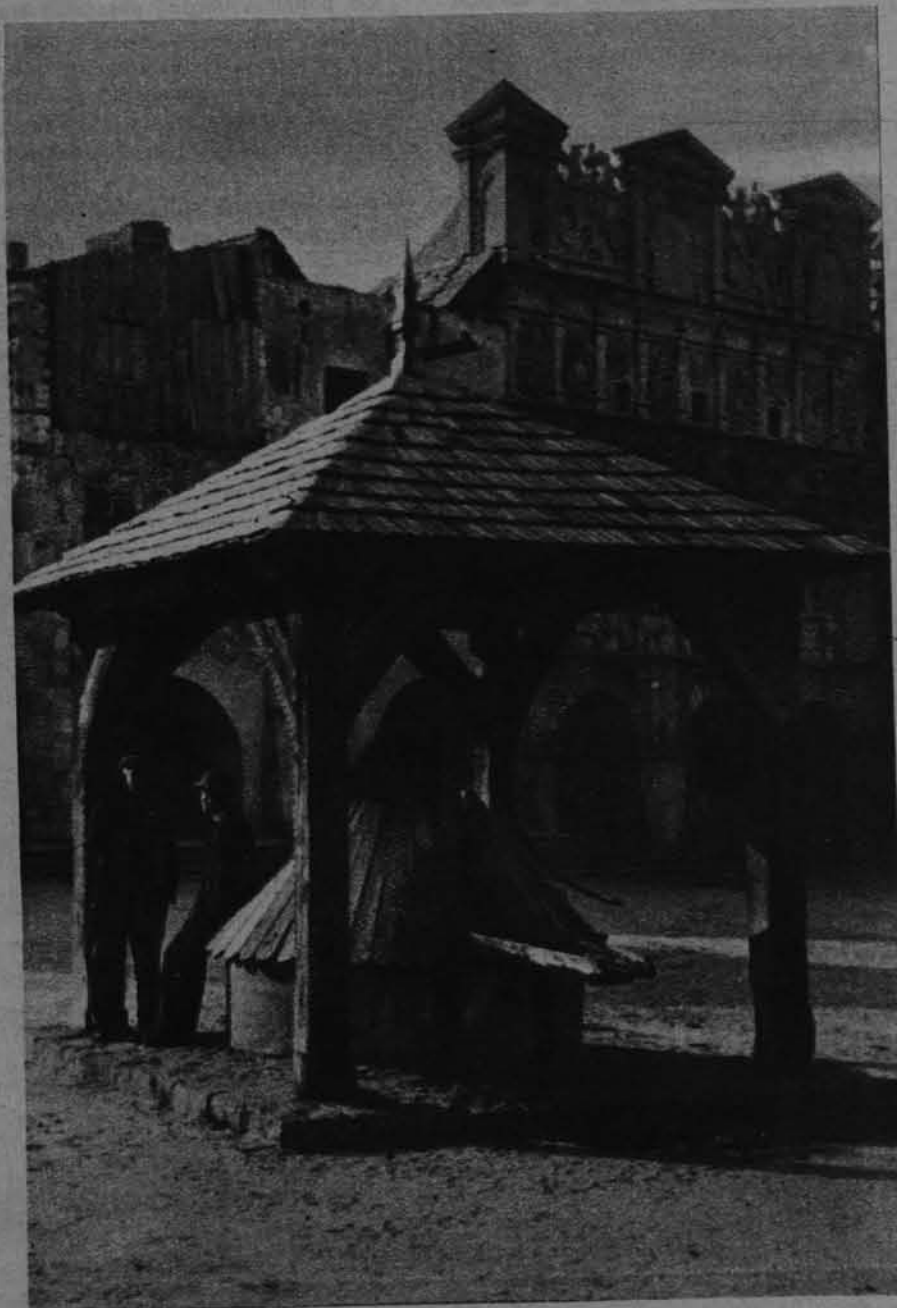
Zapowiedziana w poprzednim numerze trzecia rozmowa (na zasadnicze dla krajoznawców tematy) z przyjacielem p. t.

Co mamy właściwie ROBIĆ?

ukaze się dopiero w następnym, t. j. sierpniowym numerze ZIEMI. Ustapiliśmy tym razem miejsca artykułowi o konserwacji zabytków (str. 8) Hanny Pieńkowskiej. Ratowanie zabytków jest w tej chwili sprawą daleko pilniejszą, niż rozważanie zagadnień programu krajoznawstwa, którego nb. nikt od osiemnastu lat nie poruszał. W tej sytuacji miesiąc później — miesiąc wcześniej małą naprawę stanowi różnicę. Rozmowa odbędzie się więc za miesiąc, w numerze sierpniowym.

Dzielny nauczyciel

szkoły podstawowej w Podklasztorze koło Sulejowa udaremnił napad na miejscowe muzeum i uchronił zbiory przed zniszczeniem. Jego własną relację o tym wydarzeniu przeczytacie w notatce „Złodziej w Muzeum” na str. 7-mej, a historię opactwa cystersów w Sulejowie, w którego ruinach mieści się wspomniane muzeum poznacie z artykułu T. Kmiecickiej „Opactwo w Sulejowie” — na stronie następnej. Na zdjęciu nauczyciel z Podklasztorza, p. Zacheusz Miśsiński.





Opactwo w Sulejowie

T. Kmlecińska

Gdy w roku 1177 pierwsi cystersi przybyli do Sulejowa, mieli już zapewnioną materialną podstawę swojej działalności. Rok wcześniej Kazimierz Sprawiedliwy ufundował opactwo, ofiarowując Sulejów wraz z okolicą i mieszkańcami na utrzymanie zaproszonego konwentu. Książę senior krakowski, Mieszko, również był przychylny temu przedsięwzięciu, czyniąc dla powstającego klasztoru pewne dotacje, wprawdzie w dzielnicy seniorackiej, ale blisko Sulejowa. Obok nadań książęcych na wyposażenie klasztoru złożyły się także dary osób prywatnych, jak Baldrzych i Radosław.

Jakkolwiek i dzisiaj szeroka, piaszczysta dolina Pilicy jest zasobna w lasy, to w wieku dwunastym miała ona zapewne charakter prawie jednolitej, zwartej puszczy. W krzewieniu osadnictwa na takich właśnie prawie bezludnych terenach wielką rolę odegrały klasztory. Cystersi w swojej regule mieli nakaz zakładania siedzib w miejscach trudnych, nawet malarycznych i niezdrowych. Praca fizyczna była podstawą ich utrzymania. W pierwszych wiekach istnienia Państwa Polskiego popierano osadzanie takich właśnie klasztorów, których praktyczna działalność miała znaczny wpływ na ekonomiczne oblicze kraju.

Osadzenie cystersów w Sulejowie miało także pewne znaczenie polityczne. Po wypędzeniu z Krakowa księcia-seniora, Kazimierz Sprawiedliwy nadał im szerokie dobra w dzielnicy seniorackiej. Mitkowski pisze, że „wygląda to na fragment celowej akcji, zdążającej do umocnienia się w posiadaniu zdobytych obszarów przez rozdawanie ziemi w ręce swych pewnych stronników”. Podkreślić należy specjalnie książęcy charakter fundacji. Książęta z linii Kazimierza Sprawiedliwego — Leszek Biały, Konrad Mazowiecki, Łokietek, a nawet jeszcze siłą tradycji Władysław Jagiello — nazywali opactwo sulejowskie „swoim” (no-

strum cenobium, nostrum monasterium). Z tym charakterem fundacji łączą się funkcje kapelanów książęcych. Była to jednak zapewne godność wyłącznie tytułarna. Gdyby te obowiązki były rzeczywiście wykonywane zmuszałoby zakonników do przebywania poza klasztorem. Nie udało się jednak wykazać udziału cystersów sulejowskich w pracy kancelaryjnej książąt. Mnisi sulejowscy mieli także obowiązek odprawiania modłów i nabożeństw za fundatora i jego ród.

W chwili przybycia konwentu do Sulejowa miał się tam już znajdować kościółek murowany. Książęcej fundacji godziło się jednak mieć okazałą świątynię, taką, jakich wiele było już we Francji, ojczyźnie przybyszów. Było za co budować — majątek konwentu dzięki opiece książąt i zapobiegliwości opatów wzrastał stale. W roku 1242 wyrażał się on pokaźną cyfrą 34 wsi.

Budowa świątyni pod wezwaniem NP Marii i św. Tomasza Becketa została ukończona szybko bo już w roku 1232. Przypisuje się to Willermowi, jednemu z najenergiczniejszych opatów sulejowskich. Jest to ta sama świątynia, którą dzisiaj podziwiamy w zespole poklasztornych budynków. Mimo pewnych zniszczeń jest ona naprawdę pięknym przykładem architektury średniowiecza i jej specyficznej, cysterskiej odmiany.

Jest to bezwieżowa, trójnawowa bazylika z transeptem z wyodrębnionym zamkniętym prostą ścianą prezbiterium. Statyka i symetria — oto wrażenia, jakie odnosi widz, stojący przed fasadą zachodnią. Oś pionową budynku wyznacza portal wraz z umieszczoną nad nim rozetą. Fasada jest skromna, ale zwarta.

Każda z głowic kolumnienek portalu jest inna, choć motyw jest ten sam. Liść akantu podwójnym wieńcem otacza trzon głowicy, lekko odchylają się zakończenia liści. Liść akantu gładko przylegający, a woluty wywinięte jak w starożytnych kapitelach kompozytowych.

Pierwsze wrażenie po wkroczeniu do chłodnego wnętrza — to pustka, zaledwie wypełniona przez ołtarze i stalle. Dostyc szeroka nawa główna zasklepia się wysoko w prawie kwadratowe krzyżowe przęsła. Nawy boczne niskie i wąskie. Trudno tu znaleźć dekorację, nie ma bowiem takiego punktu któryby ją skupiał jak portal w fasadzie zachodniej. Dekoracja została tutaj tak ograniczona, że prawie ginie we wspaniałej, pustej architekturze. I tutaj głowice kolumn pokryte są liśćmi akantu — to spadek po Grecji. Plecionka, linia bez końca i początku — to wytwór fantazji ludzi mieszkających na północ od Alp. Plecionka i stylizowane kwiaty pokrywają zworniki sklepień.

Od południa przytykały do kościoła zabudowania klasztorne. Trudno jest odtworzyć ich pierwotny wygląd na podstawie znikomo zachowanych pozostałości. Według szczegółowej rekonstrukcji Świechowskiego zabudowania te zawierały takie nieodzowne elementy jak kaplica opata i karcer, którego zakładanie nakazuje kapituła w roku 1229, dodając, by to było pomieszczenie zamczyste. Kapituła zbudowana na planie kwadratu, podparta jednym środkowym filarem, zachował się przy wschodnim skrzydle krużganka w stanie niewiele odbiegającym od pierwotnego. Sklepienie kapitułarza sulejowskiego zalicza się do najsmielszych przedsięwzięć sztuki przesklepienia systemem krzyżowo-żebrowym w polskiej architekturze cysterskiej.

Obwarowania klasztoru sulejowskiego wiążą się z najazdami tatarskimi. Najazd w roku 1241 nie wyrządził jeszcze opactwu większej szkody. W roku 1259 cystersi ucierpieli już mocno. Spalono budynki, były liczne ofiary w ludziach. Z upadku klasztoru dźwiga się jednak szybko.

Później zagrożenie przez zagony tatarskie powtarza się jeszcze kilkakrotnie. W roku 1431 opactwo zniszczono. Upamiętnia to napis wykonany

na ścianie kapitułarza ręką nieznanego mnicha: „hoc monasterium... anno Domini 1431 per Tartaros crematum est.” Gdy w roku 1502 Tatarzy pod wodzą Mengligireja przekroczyli granice Rzeczypospolitej, spalili Opactów, Kaniów, Łagów—Sulejów musi się szybko fortyfikować.

Od południa obronę naturalną stanowiły: uskok terenu, stawy i bagna. Tu wystarczyła wciągnięta ku górze ściana skrzydła zabudowań klasztornych. Od wschodu natomiast, północy i zachodu należało otoczyć zabudowania murem, wzmocnionym wieżami. Budowle obronne sulejowskiego klasztoru powstały na przełomie XV i XVI wieku. Na owe czasy były to poważne fortyfikacje, skoro projekt ustawy sejmowej z roku 1584 przewidywał przeniesienie skarbu państwa z zamku w Rawie Mazowieckiej do klasztoru w Sulejowie i jako uzasadnienie podaje właśnie obronność miejsca.

Klasztory francuskie związane z opactwem w Cluny miały zazwyczaj dwie bramy, pozwalające na komunikowanie się ze światem zewnętrznym. Podobnie było w Sulejowie. Oprócz głównego wjazdu także baszta „rycerska” była jednocześnie wieżą bramną. Edmund de Santa Croce podczas wizytacji w roku 1580 nakazał likwidację tej bramy i pozostawienie jednego tylko wjazdu. Ślady zamurowania widoczne są do dziś w dolnej kondygnacji murów.

Podczas gdy fortyfikacje powstały od jednego rzutu w krótkim czasie, inne zabudowania narastały kolejno. Wschodnie skrzydło klasztoru powstało razem z kościołem, w wieku XIII. Skrzydło południowe na naturalnym uskoku gruntu wzniesiono wówczas tylko prowizorycznie, skoro później zaszła potrzeba budowania go od podstaw. Na jednym z okien piwnicy wyryta była data 1530. Uznano ten rok za datę przebudowy, zwłaszcza że przemawiają za tym i inne dane (jak na przykład dekoracja konsol dawnego refektarza). Przyjmuje się, że skrzydło za-



chodnie powstało w wieku XVI w okresie wielkiej rozbudowy klasztoru za czasów „bardzo czynnego opata Salomona”.

W wiekach następnych klasztor nie prosperował już tak wspaniale. W roku 1790 kościół i budynki stały się pastwą pożaru. W roku 1819 następuje kasata klasztoru i przejęcie opactwa przez władze państwowe. Wtedy rozpoczęła się też tułaczka Kopiarza Sulejowskiego, zawierającego odpisy wszystkich dokumentów, wydanych dla klasztoru. Księgę tę sporządzono w XVII wieku na polecenie biskupa Schenkinga. Uszkodzony kopiarz odnaleziono w roku 1930 w Tarnopolu. Obecnie znajduje się on w Archiwum Państwowym w Łodzi.

DOKOŃCZENIE NA STR. 25

Ozdobna kolumna wspierająca sklepienie kapitułarza klasztornego.
Fot. Lech Starowicz



Na stronie 6-tej — opactwo w Sulejowie w połowie XIX wieku.
Litografia J. Ceglńskiego

Powyżej — widok ogólny opactwa od południa. Fot. Lech Starowicz.

Poniżej — Baszta Opacka, jeden z lepiej zachowanych fragmentów dawnych obwarowań klasztoru.
Fot. Lech Starowicz.



ZŁODZIEJ W MUZEUM

Niecodzienne miałem przeżycie w dniu 6 marca — pisze p. Zacheusz Misiurski w 4 numerze Biuletynu Okręgu Łódzkiego PTTK — Wybrałem się z dziatwą szkolną do miejscowego muzeum na lekcję przy makiecie pracowni garncarskiej. Nie spodziewając się niczego doszedłem do drzwi muzeum i usłyszałem brzęk tłukącego się szkła. Jakież było moje zdziwienie i przerażenie, kiedy po otwarciu drzwi zauważyłem leżące na posadzce szkło, wyłamane okno i wtedy refleksja — kto to mógł uczynić? W sali rycerskiej pocięty na pasy leżał obraz olejny „Amor i Psyche”, obok potłuczony drugi zabytkowy obraz malowany na szkło w Wenecji przedstawiający św. Sebastiana. Zdemolowano gablotę z numizmatyką. Skradziono najcenniejsze i najstarsze monety. Przerażony zniszczeniem nie zauważyłem złoczyńcy ukrywającego się za kolumną z mieczem w ręku, wyjętym z gabloty, którym przed chwilą ciął obraz. Dopiero jedna z najprzypłomniejszych dziewczynek krzyknęła: „Ktoś uciekł z muzeum”. Bez chwili zastanowienia puściłem się w pogoń. Kiedy wybiegłem nazewnątrz opryszek był już około 70 m przede mną. Ile tylko siły w nogach pogoniłem, aby go ująć. Opryszek uciekając, aby powstrzymać pościg, wyrzucał z kieszeni zrabowane monety. Nie zwróciłem jednakże na nie uwagi goniąc go dalej. Po długotrwałym pościgu chwyciłem go przy pomocy ob. Albina W. i oddałem w ręce milicji.

Ustalono później, że złodziej dostał się do muzeum przez wyłamane okno zaledwie na 20 minut przed przybyciem dzielnego nauczyciela i dopiero rozpoczął demolowanie zbiorów. Był to notoryczny przestępca. Za ostatnie włamanie — to do muzeum — otrzymał karę 2½ roku więzienia.

Warto kilka słów powiedzieć o samym muzeum. Myśl założenia regionalnych zbiorów w Sulejowie powstała w czasie prowadzenia robót konserwatorskich na terenie zabytkowego opactwa cystersów. Wykopane podczas niwelacji gruntu przedmioty dały początek zbiorom. Sprawą zajęło się miejscowe koło Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, którego przewodniczącym był p. Zacheusz Misiurski. Muzeum powstało dzięki ofiarnej pracy społecznej i po pokonaniu wielu trudności otwarto je w roku 1949.

Obok ruchomych zabytków sztuki, jak rzeźba i obrazy, zbiory obejmują kolekcję numizmatyczną, eksponaty geologiczne, okazy starej broni i makiet: sulejowskiego klasztoru, urządzeń miejscowego przemysłu wapienniczego a także ludowych warsztatów rzemieślniczych. Czasem urządza się także wystawy okresowe, jak np. ostatnio „Zabytek w fotografii”. Zgromadzono tu także literaturę traktującą o samym opactwie (historię tego cennego zabytku przedstawia artykuł „Opactwo w Sulejowie”).

W spadku po PTK muzeum zostało przejęte przez PTTK. Kustoszem, jak również społecznym opiekunem zespołu zabytkowego jest nadal p. Z. Misiurski.

Hanna Pieńkowska

KONSERWACJI ZABYTKÓW

1 Wokół zagadnień ochrony i konserwacji zabytków zagęszcza się ostatnio atmosfera. Wzrasta zainteresowanie, rośnie krytyka od wewnątrz i od zewnątrz organizacji służby konserwatorskiej, coraz częściej podejmuje to zagadnienie prasa, interwencja społeczna występuje gwałtowniej. Ogólnokrajowy Tydzień Ochrony Zabytków, który miał miejsce we wrześniu ubiegłego roku, pobudził i zaostriął jeszcze problematykę, stawianą niemal równocześnie na zjazdach konserwatorskich, sesjach naukowych Stowarzyszenia Historyków Sztuki, a w końcu w formie interpelacji w Sejmie. To zaostrezenie i zagęszczenie atmosfery jest znakiem dobrym, witany z radością przez wszystkich, którym mocno na sercu leżą sprawy ochrony i wydobywania właściwych wartości nielicznych zabytków ocalałych w Polsce w ciągu jej burzliwej historii. Tam gdzie się bowiem zaczyna mocno i dobitnie krytykować — można mieć nadzieję zasadniczych zmian i poprawy. Nie miejsce tutaj na rozpatrzenie naszych osiągnięć i niedociągnięć w tym zakresie. Analiza taka była nieraz przedmiotem narad konserwatorskich, którym można jednak zarzucić zbytnią łagodność i „gobelinowość” opinii i sądów. To nastawienie z jednej strony osłabiało osłabienie służby konserwatorskiej w najtrudniejszym dla niej okresie, z drugiej strony łagodząc błędy i niedość ostro kwalifikując tragiczny stan sprawy i obojętność społeczeństwa dla tych zagadnień. Artykuł ten nie ma być jednakże utyskiwaniem na to co złe, nie ma odbrażowania wielu wątpliwych osiągnięć i nie ma opłakiwać prochów wielu bezpowrotnie zatraconych obiektów zabytkowych o wysokiej wartości. Natomiast wypowiedź ta ma na celu próbę skierowania uwagi czytelników na rolę jaką odgrywa i powinna odgrywać służba konser-

watorska, oraz zapoczątkowanie dyskusji nad formami organizacji, pracy i badań konserwatorskich.

2 Zgromadzono ogromny materiał dowodowy, świadczący o przyspieszonym i pogłębiającym się stanie niszczenia czołowych zespołów zabytkowych naszego kraju i to zarówno w zakresie zabytkowych układów urbanistycznych, architektury monumentalnej i drewnianego budownictwa wiejskiego, jak również w zakresie bogato zróżnicowanego i niedostatecznie jeszcze znanego materiału zabytków plastyki, rzeźby, snycerstwa, złotnictwa, tkanin, itp. Wobec tych stwierdzonych faktów może się wydawać co najmniej dziwną bezradność i jakby nikła działalność sieci konserwatorów terenowych. Warto jednak przyjrzeć się przez chwilę możliwościom, jakimi rozporządza służba konserwatorska, pragnąca egzekwować w terenie postulaty swego resortu. Zasadnicza ustawa określająca zadania ochrony zabytków pochodzi z roku 1928 i zawiera wiele nieaktualnych w dzisiejszym ustroju sformułowań. Ponadto w formie mało sprecyzowanej określa sposób wprowadzenia sankcji karnych za dopuszczanie się przestępstw prawnych w zakresie ochrony zabytków, pozostawiając bez przeliczenia wprost śmiesznie niskie kary, które — jeśliby nawet były stosowane — nikogo nie są w stanie przestraszyć, ani też powstrzymać złej woli. A przecież mimo tej łagodności nie zdarzyło się na przykład na terenie województwa krakowskiego, aby jakiegokolwiek starania konserwatora o ukaranie winnych były przez prokuraturę wojewódzką lub powiatową pozytywnie i zgodnie z przepisami rozpatrzone. Bano się stosowania „sanacyjnej” ustawy, jak określano na terenach urzędowych Rozporządzenie o Ochronie Zabytków z 1928 r., nie znajdowano dostate-

cznego uzasadnienia dla ochrony obiektów przypominających bądź czasy „feudalnego ucisku”, bądź „kapitalistycznego wyzysku”, bądź też, co najgorzej, obiektów kościelnych. W taki to wulgarny, prymitywny sposób utracono praworządne starania konserwatorów, dążących do wpojenia szacunku i miłości w stosunku do kultury własnego narodu. Konserwator pozostawał przez wiele lat prawie całkowicie osamotniony w swych staraniach. Do osamotnienia tego przyczyniała się tendencyjna i fałszywa interpretacja obowiązków obciążających resort ochrony zabytków. Otóż wbrew jasnym sformułowaniom ustawy i wielu specjalnym zarządzeniom — odpowiedzialnością za utrzymanie i stan zabytku, bez względu na jego użytkownika, obarczano konserwatora wojewódzkiego, oczekując iż kwoty konieczne nawet na remont bieżący znajdą się w budżecie konserwatorskim. Oczywiście nonsens tego rodzaju rozumowania, sprzecznego nie tylko z ustawami, ale wprost ze zdrowym rozsądkiem, odbijał się w konsekwencji na zabytku, chylącym się powoli do ruiny. W ten sposób zniszczono wiele dworów, pałaców i parków, eksploatowanych rabunkowo przez Gminne Spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej, spółdzielnie produkcyjne, PGR i POM — w końcu zaś porzucane i opuszczane na łaskę Gromadzkich Rad Narodowych, rzeczywiście nie posiadających funduszy na ich konserwację. Gdy dołączyć do tego utwierdzone w umysłach legendę o niezwykle kosztach remontu zabytku, legendę tak świetnie i rzeczowo obaloną w artykule „Cena zabytków” M. Krasockiego w ostatnim numerze *Ochrony Zabytków* (R. 10, nr 1, 1957), staje się zrozumiała bezradność terenowych pracowników konserwatorskich. Te „czarne owce” niezbyt mile widziane na terenie rad narodowych, miały nieszczęście w swej nazwie koja-

żyć się ze słowem „konserwatyzm”, co niejednemu myliło się całkowicie, przysparzając wiele krzywdy ludziom i kulturze.

3 Obok tych trudności zewnętrznych niejako — konserwatorzy przez wiele lat walczyli i jeszcze walczą z trudnościami wewnętrznymi. Dotyczą one właściwego poziomu naukowego służby konserwatorskiej i zadań przez nią wykonywanych, liczby zatrudnionych pracowników i właściwej organizacji urzędów konserwatorskich oraz braku środków lokomocji. Słaba propaganda zadań i osiągnięć, wątłe powiązania z prasą, nikiłe upowszechnienie problemu i wykorzystanie sił społecznych — oto kilka zasadniczych nękających nas problemów. Od dłuższego czasu zastanawiamy się, czy istnieje lekarstwo, które w sposób zasadniczy, generalny mogłoby uzdrowić i usprawnić działalność służby konserwatorskiej w terenie. Z długotrwałych dyskusji i doświadczeń opartych o długoletnie, codzienne borykanie się z trudnościami — wyłania się coraz bardziej konkretnie i zdecydowanie właściwa linia reorganizacji. Najważniejszą sprawą wydaje się nam oderwanie, i to radykalne oderwanie służby konserwatorskiej od biurokratycznej, papierkowej, przeciążonej administracją formy pracy. Przepisy ogólnoadministracyjne lub ogólnobudowlane w żadnej mierze nie mieszczą zagadnień konserwatorskich. Brak własnego, szerokiego aparatu naukowo-badawczego, własnych laboratoriów i pracowni, brak sprężystego aparatu inspekcji i kontroli terenu, a w końcu brak własnego, opartego na specjalnych przepisach aparatu wykonawczego — uniemożliwia w sposób istotny i zasadniczy właściwą pracę konserwatorską. Wymienione powyżej braki spowodowane są wtłoczeniem i związaniem kadr konserwatorskich z

władzami administracji państwowej, nie przygotowanej do zadań specjalistycznych, naukowych. Natomiast zadania te świetnie mógłby objąć organizacyjnie Naukowy Instytut Konserwacji Zabytków o odpowiednio postawionych działach. Instytut taki zapewniłby w pierwszym rzędzie naukowe podstawy działalności konserwatorskiej. Zamiast dotychczasowej, często zbyt powierzchownej, często spóźnionej dokumentacji naukowej danego obiektu lub problemu — można by w Instytucie wypracować formy pogłębionej i bardziej wnikliwej analizy każdego problemu konserwatorskiego oraz przeprowadzać regularne dyskusje naukowe przy zagadnieniach większej wagi. Zespół pracowników Instytutu podjąłby ponadto sprawę opracowania zbiorowego podręcznika konserwacji zabytków, który by ujednolicił wskazania technologiczne i ustalił zasady i metodykę prac konserwatorskich. Na tym polu widać wyraźnie duże zaniedbania, co znacznie utrudnia pracę i dokształcanie fachowe konserwatorów. Proponowana forma organizacyjna pozwoliłaby niewątpliwie na podjęcie systematycznej i długofalowej współpracy z innymi instytucjami naukowymi, w celu wspólnego rozwiązywania wielu palących problemów technologicznych: np. zagadnienie konserwacji kamienia, stosowanie tworzyw sztucznych itp. Badania takie prowadzone są obecnie przez kilka ośrodków np. w Toruniu, jednak bez koordynacji poczyniła i wysiłków oraz bez udziału wszystkich osiągnięć na wspólnych naukowych naradach. Zapewne wówczas również byłoby łatwiej o ściślejsze i szersze zapoznanie się z zagraniczną problematyką

konserwatorską, obecnie dostępną jedynie dla niewielkiej garstki konserwatorów, strzegących wyłączności swych wiadomości. Międzynarodowa problematyka konserwatorska nie jest dziś dostępna dla wojewódzkich zespołów konserwatorskich nawet za pośrednictwem zagranicznej literatury, wobec trudności dotarcia do niej. W tej mierze Ministerstwo Kultury czuje się również bezsilne, oszczędzając na dewizach, co nie pozwala na prenumeratę zagranicznych czasopism lub wydawnictw. Ten stan rzeczy nie przyczynia się w żadnym wypadku do podniesienia kwalifikacji pracowników terenowych. Problem szkolenia i dokształcania mógłby być łatwo rozwiązany w Instytucie Konserwacji Zabytków. Tam winny znaleźć miejsce studia specjalistyczne, kursy i ćwiczenia, zapewniające coraz wyższy poziom i coraz lepsze kwalifikacje zespołów konserwatorskich. Nie można pominąć jeszcze jednego problemu, należało go nawet wysunąć na czoło rozważań. Powołanie do życia Instytutu pozwoliłoby na odciążenie jednego człowieka, jakim jest konserwator wojewódzki z — jeśli można tak powiedzieć — wielobranżowej specjalizacji i odpowiedzialności. Myślę tu o konieczności opanowania przez jedną osobę w równej mierze zagadnień plastyki i archeologii, urbanistyki i znajomości formowania zieleni, historii i przepisów inwestycyjnych. Ten konglomerat zagadnień siłą rzeczy musi spływać i upraszczać postępowanie konserwatorskie, związane z decyzją jednego człowieka. Natomiast ujęcie tych zagadnień przez odpowiednich specjalistów Instytutu gwarantowałoby pogłębienie i rozszerzenie podstaw decyzji i realizacji konserwatorskich.

4 Jak dotąd daje się odczuć rzeczywisty brak publikacji z zakresu konserwacji i ochrony zabytków. Zbyt nieregularnie ukazujący się kwartalnik *Ochrona Zabytków* nie może siłą rzeczy sprostać wszystkim potrzebom terenu. W tej dziedzinie należałoby pomyśleć o publikowaniu materiałów dokumentacyjnych, możliwie najpełniejszych, a nie tylko czołowych, jak to ma miejsce w kilku zeszytach *Teki Konserwatorskiej*. Monografie regionów, zespołów zabytków i poszczególnych obiektów, opracowania albumowe, prospekty, drobne publikacje propagandowe oraz literatura ściśle fachowa — oto właściwe pole dla prac odpowiedniego Instytutu. Ten dział łączyłby się zapewne z akcją popularyzacyjną zadań i zagadnień ochrony zabytków. W dziedzinie tej również napotykałby jak dotąd na wielkie luki pracy konserwatorskiej; pozytywnym wyłomem było zorganizowanie w roku ubiegłym Tygodnia Ochrony Zabytków. Jednakże praca dydaktyczna, mająca na celu wychowanie miłośników własnej, polskiej kultury nie mogłaby się ograniczać jedynie do dorywczych akcji. O jej powodzeniu decyduje konsekwentna ciągłość działania możliwa w ramach organizacyjnych Instytutu, natomiast niemożliwa na drodze zarządzeń administracyjnych.

Wreszcie sprawa wykonawstwa prac konserwatorskich w terenie. I tutaj doświadczenia mówią nam o spiętrzeniu trudności przy dzisiejszym ustawieniu organizacyjnym przedsiębiorstwa Pracowni Konserwacji Zabytków. Ten specjalistyczny aparat wydaje się zbyt ciężki i zbyt szablonowo zorganizowany dla szcze-

gólnych potrzeb terenu. Obowiązujące przepisy ogólnobudowlane, brak systematycznego szkolenia często obciążenie posad niewykwalifikowanymi ludźmi — oto główne przyczyny nieudolności przy wykonywaniu konkretnych zadań projektowych lub remontowo-konserwatorskich. Związanie działu wykonawczego z Instytutem naukowo-badawczym przesądziłoby z góry metody prac i formy organizacyjne, gdy zamiast konieczności wykonania sztywnego planu, wyciągnięcia odpowiednich obrotów, szablonowo ustawionej dokumentacji — można by pracę kształtować twórczo i w oparciu o żywe, zawsze powiązane w czasie wskazania naukowe.

Instytut Konserwacji Zabytków posiadałby odpowiednią wagę w hierarchii zagadnień planowania i gospodarki. Opinie i decyzje Instytutu o pełnej odpowiedzialności naukowej, oparte o zespół fachowców na wysokim poziomie nie mogłyby być przekreślane przez niekompetentne w tych sprawach i niefachowe czyniki administracyjne, co zapewniłoby lepszą ich egzekutywę w terenie.

Wizja Instytutu prześladuje nas już od dłuższego czasu. O niej to mówi się od kilku lat na zjazdach konserwatorskich, o niej dyskutuje na konferencjach Stowarzyszenia Historyków Sztuki, szukając wyjścia z niezbyt różowej rzeczywistości. Wydaje się, że dyskusja nad tym problemem nie tylko wśród niewielkiej liczby specjalistów — mogłaby wzbudzić zainteresowanie szerszej grupy społecznej problemami — jeśli nie ściśle konserwacji — to ochrony zabytków. A o to przecież walczymy w pierwszym rzędzie.

Hanna. Pieńkowska



W KOZIM MŁYNIE

Witając z radością inicjatywę „Ziemie” zbierania materiałów do zabytków przemysłu ludowego, chciałbym ze swej strony dorzucić „trzy grosze” o pewnym młynie w Żywiecczyźnie. Znajduje się on we wsi Lachowice (znanej zresztą z wyjątkowo pięknego kościoła drewnianego), a ostatnio był nawet poddany konserwacji, co się młynom raczej rzadko zdarza.

Od frontu lachowicki młyn nie zdradza swego właściwego przeznaczenia — przypomina raczej dostatnią, a nawet ozdobną chatę z facjatą. Dopiero zaszedłszy od tyłu zobaczymy koło i drewniane rusztowanie doprowadzające wodę ze spiętrzonego potoku.

Budynek posiada interesującą dekorację: oto w obu szczytach a także w facjacie w zwieńczeniu dostrzegamy gontowe koszyki na „wspornikach” wyciętych z desek. Te „wsporniki” wycięte są w kształcie profilu górala. Całość budynku opracowana ładnie i subtelnie. Obecnie razi dach częściowo pokryty gontem, częściowo dranicami.

Ale największą ciekawostką młyna to opracowanie jego mechanizmu, w którym znowu przejawia się niepoślednie poczucie artystyczne młynarza czy budowniczego. Otóż skrzynia mieszcząca kamienie posiada ozdobny „renesansowy” (oczywiście gdyby nie czas powstania) szczyt na którym w płasko-

rzeźbionej laurce umieszczono datę budowy: 1871. Z owego zaś szczytu wystaje łeb kozi — nic nie koloryzując, proszę spojrzeć na zdjęcie — prawdziwy w drzewie wyrzeźbiony łeb kozi z rogami. Gdy miele się ziarno, mąka sypie się z pyska...

Niestety dziś mąki się nie miele. Czy nie wartoby uruchomić ten dość wyjątkowy młyn? Jak wiadomo z doświadczenia obiekty nieużytkowane, choćby się je nawet od czasu do czasu odnawiało — i tak skazane są na zagładę.

Tadeusz Chrzanowski



BISKUPIZNA

TEKST I ZDJĘCIA

WIESŁAW TOMASZKIEWICZ

W WIELKOPOLSCIE CYWILIZACJA DOŚĆ SZYBKO ZDOŁAŁA ZATRZEĆ ODREBNOSCI REGIONALNE. ALE TU I ÓWDZIE ZACHOWAŁY SIĘ ZAKĄTKI Z CIEKAWYM I NIEZWYKLE ORYGINALNYM FOLKLOREM. TAKIM REZERWATEM FOLKLORU WIELKOPOLSKIEGO JEST WŁAŚNIE BISKUPIZNA.



2

3



1

1 Tradycyjna kapela ludowa składa się na Biskupinie tylko z dwóch instrumentów: skrzypiec i dud. Na zdjęciu — starzy muzycy wiejscy Pakosz i Dubicki.

2

2 Wiwat — dawny wielkopolski taniec weselny jest na Biskupinie do dziś popularny.

3

3 Grupa gości weselnych w strojach ludowych. Kobiety ubrane na białe, mężczyźni noszą białe spodnie i jaskrawo czerwone kamizele.

4

4 Biskupianki w strojach świątecznych. Głowy ozdobione „kopkami”, skrzydlatymi czepcami z batystu i tiulu.

Biskupizna to niewielki stosunkowo obszar leżący w pow. gostyńskim, obejmujący wsie na terenach parafii Krobia i Domachowo. Okolicą to płaska, pozbawiona lasów, o cechach typowego krajobrazu wielkopolskiego. Obszar ten już od XII w. należał do biskupów poznańskich, stąd też wywodzi się nazwa regionu „Biskupizna”. (Biskupizny nie należy mieszać z Biskupinem, leżącym w pow. żnińskim, znanym ze słynnych wykopalisk prehistorycznych).

„Stolicą” Biskupizny jest stare, choć niewielkie dziś miasteczko Krobia, jeden z najdawniejszych ośrodków chrześcijaństwa na ziemiach Wielkopolski. Wznosi się tu kościółek romański prawdopodobnie z XI w., który według podania miał wzniesić Władysław Herman. Po dawnym zamku biskupów nie pozostało śladu. W XVI w. wybudowano tu pałac, którego twórcą był słynny Jan Baptysta z Quadro, twórca renesansowego ratusza poznańskiego. Pałac służył za siedzibę letnią prymasa Polski.

Warunki w tutejszych dobrach biskupich były lepsze niż gdzie indziej. Dobra te stanowiły silne ośrodki gospodarcze. Ściągano tu licznych osadników i podnoszono stale kulturę ziemi, a ludności pozostawiano większą swobodę. Wszystko to nie pozostało bez wpływu na rozwój cywilizacji i kształtowanie się odrębności etnograficznych — szczególnie w dziedzinie kultury materialnej. Podobny przykład stanowią również łowiccy księżacy.

Na Biskupinie dłużej niż gdzie indziej utrzymał się jeszcze odświętny strój ludowy, i to zarówno kobiety jak i mężczyźni. W niedzielę czy święto można dziś jeszcze podziwiać tradycyjne stroje kobiet; długie, fałdliste suknie, piękne chusty, skrzydlate czepce tzw. „kopki” z batystu i tiulu, zdobione haftem, wspinałe kryzy, spod których zwisają zwoje koralów. Mężczyźni zaś noszą

„jaki”, jaskrawo czerwone kamizele, białe lub granatowe spodnie i długie sukmany. Duże zamięłowanie do koloru fioletowego i purpurowego w strojach — jest naśladownictwem ubioru duchowieństwa.

Szczególną okazją do oglądania strojów biskupiańskich — jest święto Bożego Ciała w Krobi, a także odpust w Domachowie odbywający się 24 czerwca. Biskupianie zachowali wiele ze swojego dawnego obyczaju. Nie zaginęły jeszcze takie tradycje jak „katarzynki”, „podkoziolek”, „dyngus”, czy „śrendziny” (zaręczyny). Biskupianie lubią się bawić, nie pomijają więc żadnej nastroczającej się ku temu okazji, jaką są również chrzciny czy wesela. Szczególnie te ostatnie obchodzi się tu bardzo hucznie przy zachowaniu całego ceremoniału. Nic też dziwnego, że zabawy weselne niekiedy ciągną się przez trzy dni, a dawnymi czasy trwały i przez cały tydzień. Odzywają wtedy stare pieśni.

Tańczą się również tradycyjne tańce weselne. Najpierw idzie „przodek” — tańczy go zazwyczaj jedna para, a mianowicie pan młody z panną młodą w kręgu gości weselnych. Mężczyźni występują w czasie tego tańca z biczami. Potem następują „równy” i „wiwat”. Te trzy tańce odbywają się zawsze w niezmiennej kolejności. Oczywiście tańczy się też „mietlorza”, „cegłorza”, „kowola” i inne. Przygrywa zaś do tańca tradycyjna kapela złożona z dudziarza i skrzypka.

Niestety piękny folklor Biskupizny — podobnie jak i w innych regionach Polski — zanika z roku na rok coraz bardziej.



4

RYUNKI NA MURZE

J. BOGDANOWSKI

Na zewnętrznych ścianach sztydłowieckiego kościoła głównie na ciosowych murach prezbiterium widnieją szeregi rysunków. Jest ich około dwudziestu. Wykonane są ostrym rylcem, konturową kreską, przeważnie na wysokości około 2 m nad ziemią.

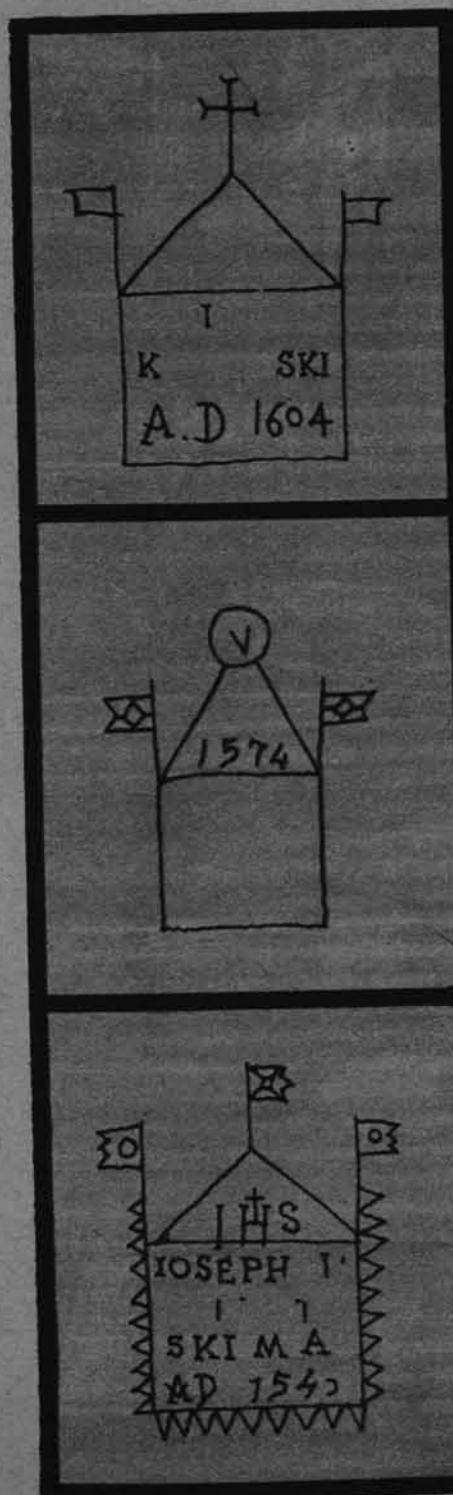
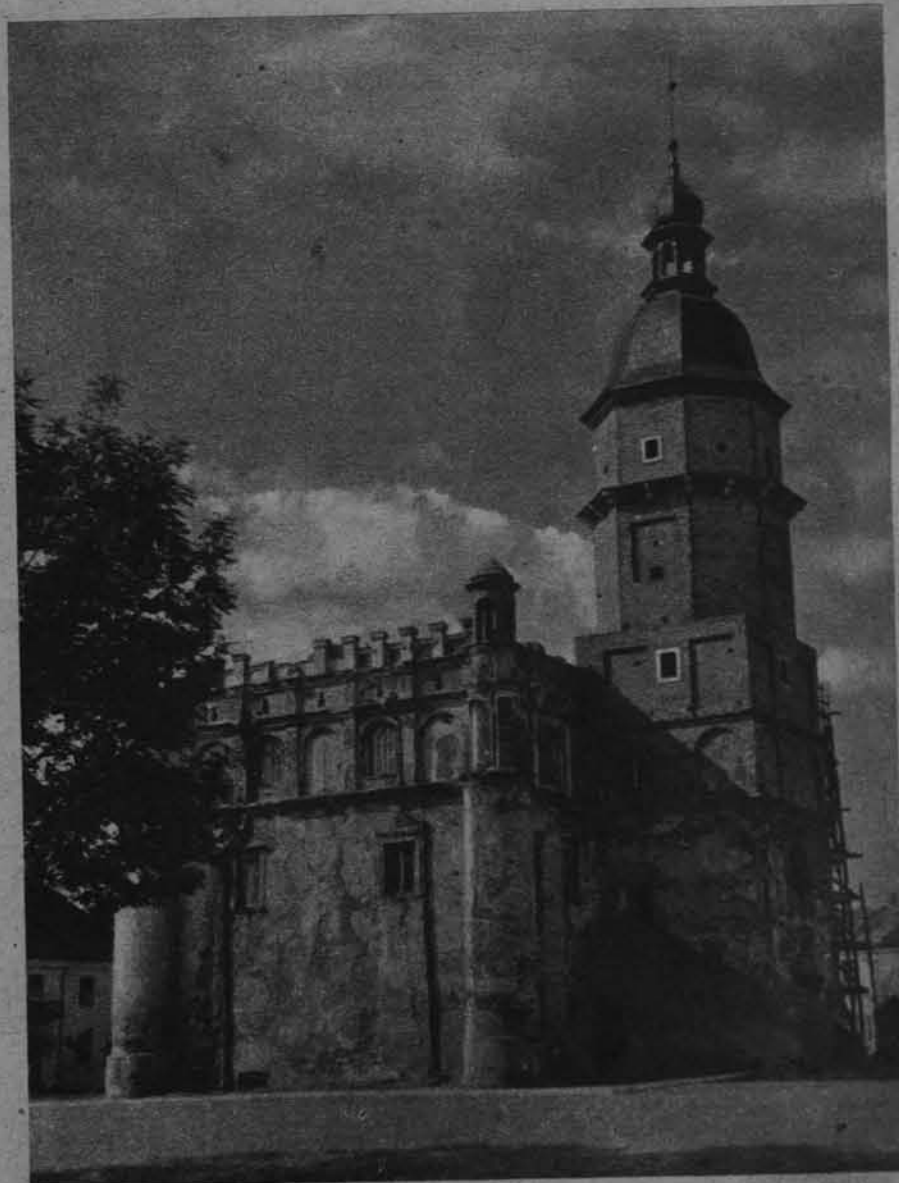
Niezbyt chwalebny zwyczaj podpisywania się na starych budowlach znany jest od wieków. Niemal każdy z naszych zabytków architektury upstrzony jest tymi dowodami współczesnego „turystycznego” barbarzyństwa.

Tu jednak rysunki na murze nie tylko noszą na sobie piętno wiekowości ale posiadają również specyficzny charakter. Pochodzą one w ogromnej większości z końca XVI i początku XVII wieku. Późniejsze są już zwykle tylko dopiskami w obrębie istniejących. Rysunki te, mimo iż wykonane są w ten sam sposób i według jednego wzoru, różnią się znacznie między sobą. Ślady wskazują, że było ich znacznie więcej. Szesnasto- i siedemnastowieczni autorzy nie zadowolili się samymi napisami; stworzyli oni całą architekturę wokół swych nazwisk.

Podstawowym wzorem jest tu jakby schematycznie przedstawiony dom o kwadratowej fasadzie i piramidalnym dachu, z zasady zakończonym na rogach chorągiewkami, a na szczycie krzyżem, bania lub również chorągiewką. Takich właśnie prostych „domkowych” rysunków jest najwięcej. Treścią pomieszczonego w nim napisu jest tylko imię, nazwisko i data, rzadziej dochodzi do tego: krzyże lub monogramy czy dodatkowe objaśnienia.

Spośród tych rysunków kilka wybija się na czoło swym indywidualnym charakterem. Najpierw są to rysunki Martinusa Gladiatora. Jeśli w po-

Ratusz sztydłowiecki z odbudowaną wieżą.
Fot. Marian Kornecki



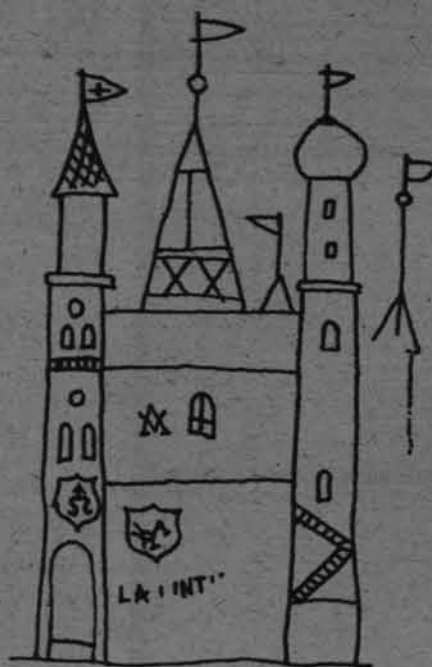


przednich motywach można by kwestionować jeszcze, czy są to istotnie schematycznie przedstawione domy, czy też jakieś umowne znaki, to tutaj nie ulega wątpliwości, że rysownik chciał przedstawić architekturę. Co więcej — różną architekturę. Martinus Gladiator podpisał się, o ile zdołałem zauważyć, dwa razy. Przy jednym podpisie wykonanym starannie antyką, przedstawił wyraźnie szczytowy dom ze strzeszką i chorągiewkami z baniami na rogach, a przy drugim — dom lub pałac z attyką i chorągiewkami.

„Szczytowym osiągnięciem” swego rodzaju jest rysunek wykonany przez Andreasa (s) Ubsilvanusa w roku 159... (ostatnia cyfra nieczytelna). Tu też nie ma najmniejszych wątpliwości, że rysujący chciał przedstawić pałac, i to nie jakiś anonimowy, ale niewątpliwie konkretny. Fasadę jego ozdobioną herbami, wśród których czytelny jest tylko Korwin (?), flankują dwie wieże, każda inna. W lewej nakrytej stożkowym dachem znajduje się brama z herbem Odrowąż. Prawa wieża zwieńczona

bania mieściła widocznie klatkę schodową, gdyż narysowano na niej schody. Sam budynek nakrywa bogaty szczyt stromego dachu. Helmy dwóch wieżyczek w głębi wskazują zapewne na to, że Ubsilvanus chciał przedstawić fasadę prostokątnego w planie pałacu z czterema wieżami na rogach. Być może, jest to wizerunek jakiegoś nieistniejącego dziś pałacu Szydłowieckich (wskazywałby na to herb Odrowąż nad wejściem), a że taki układ bryły był pospolity w tym czasie, trudno dociec jakiego. Może mówiły o tym nieczytelne dziś litery? Co to był więc za pałac czy dwór, pozostanie tajemnicą nieznanego Ubsilvanusa.

Kim jednak byli ci ludzie, którzy stworzyli te niezwykle rysunki? Sądząc po nazwiskach i zwrocie „Hic morabatur...” (Tu przebywał...) mogli to być zarówno ówczesni podróżnicy jak i ludzie przebywający czy występujący na dworze Szydłowieckich. Mogli to być wreszcie, sądząc po architektonicznym charakterze wizerunków — ówczesni muratorzy.



HIC MORABATUR
ANDREAS
UBSILVANVS
AD 159'

Gdybym był redaktorem

pódruszkowałbym i zamieścił to kapitalne „dzieło sztuki”. Jakże swojskiej dla nas ludzi „45 letnich” — pisze nasz czytelnik z Sopotu, p. Witold Zubrzycki. W rzeczywistości charakterem swym szyld z Kętrzyna sięga o wiele chęba odleglejszych czasów. W ten sam naiwnie naturalistyczny sposób malowano przecież szyldy średniowiecznym rzemieślnikom i karczmarzom. Sam szyld liczy już sobie zapewne dobrych parę lat. Świadczy o tym choćby wielki samowar i fonograf z trąbką. Malowidło śmieszy nas swą nieudolnością, ale równocześnie przyznać musimy, że ludowy malarz, który je wykonał, zdawał sobie jasno sprawę z funkcji swego dzieła. Miało ono dobitnie przekonywać przechodniów, że nie ma takiej rzeczy, której naprawy nie podjęłaby się „Naprawnia mechaniczno-ślusarska” — solidnie, prędko i tanio. Czy to byłaby maszynka do mielenia mięsa, czy archaiczna torebka babuni. I pod tym względem szyld „Naprawni” skutecznie konkuruje z maleńkimi wywieszkami „punktów usługowych”.



Już nie wód ale mokradel, zwłaszcza rozległych torfowisk między Czarnym Dunajcem i Nowym Targiem trzyma się „Graniecnik”. Nie ma wsi, nie ma człowieka w Nizinie Nowotaraskiej, który by go nie widział przynajmniej raz w życiu. Wedruje nocami strasząc płomykiem swej latarki, raz posuwa się wolno, to znów błen- nie jak wiatr szybko, sunie po ziemi lub lata w powietrzu. Błysnie ni ślad ni zowad i równie nagle zgasnie. Wła- ściwie nie czyni ludziom krzywdy, ale jeśli by mu ktoś zaufał, zawiedzie na trzęsawiska. Sieje wokół lek choćby tym, że przychodzi nocą i że ulubił sobie bagniste bezludne pustacie.

O DEMONACH STRACHACH I INNYCH STWORACH

Anna Kowalska-Lewicka

Graniecnik każdemu ukazuje się w innej postaci. W przeciwieństwie do Dziwych Żon i Bogincorzy jest czystym duchem bez nawyków i słabości ludzkich. Czasem tylko przybiera ludzkie kształty. Niektórzy twierdzą, że to pokutujące dusze inżynierów, którzy na torfowiskach nowotaraskich wymierzili niesprawiedliwie granice wsi leżących po obu brzegach pustaci — ale ktoż to może wiedzieć?

Taki Graniecnik (bo włóczący się po granicach wsi), ukazał się jednemu rogożnickiemu gaździe jako chłop w butach z cholewami z odciętą głową, a z szyi wydobywał mu się płomień. Baba z Długopola widziała chłopca z świecącą twarzą. Stary gazda z Ludzimirza spotkał Graniecnika, gdy w ciemną noc wracał z czarnodunajec- kiego jarmarku. Nagle na brzyku po- nad drogą ujrzał małe dzieciątko, z czterosienną latarką w ręce. Zaciął konie i gnał po drodze, jak mógł naj- szybciej, a „toto” biegło brzykiem i „tak warcutko przebiegało nozkami”. W świetle latarki widział że Ono mogło mieć pięć lat, miało kusą lnianą koszul- linę. Widział zadarty nosek, ale usta i oczy były w cieniu. Gdy wjechał w wieś tamto stworzonko powędrowało na torfowiska.

Z tego samego Ludzimirza chlo- pak poszedł nocą ku dziewczynie do drugiej wsi. Zaraz za chałupą skręcił na torfiaste pastwiska, by nie budzić wiejskich psów i nie zdradzić swej nocnej eskapady. Wtem nagle zobaczył pędzące ku sobie światelko. Nie było już czasu uciekać; ledwie zdążył ukryć się w kępie krzaków. Graniecnik, bo on to był, przeszedł obok niego i pogo- nił dalej; ale choć przeszedł tuż tuż, chłopiec nie widział nic, żadnej postaci, tylko same światło.

Jak widać z ich obyczajów, Graniec- niki są duchami wiodącymi tajemniczy żywot i nie interesującymi się ludźmi. Człowiek tylko czasem, przez przypa- dek, styka się z takim światłem, ale obie strony zachowują się wobec sie- bie na ogół neutralnie.

Zupełnie inaczej ma się sprawa z Planetnikami. O nich dałoby się na- pisać całe tomy. Rządzą chmurami, deszczem, burzą i gradem a więc zwi- zani są jak najściślej z losami i dobro- bytem człowieka. Poza tym często prze- bywają wśród ludzi. Taki Planetnik to zwykły chłop, tylko z reguły „nie- pili”. Ot, przywędrował skądś i do- kądś potem poszedł. Jeden taki „nie- pilec, wandrowny” ożenił się z dziew- czyną w Łopusznej. Nie wielką jed- nak miała z niego pociechę. Jak tylko przyszła wiosna, nadchodziła pora burz, wyruszał gdzieś w świat. Wracał do

domu dopiero późną jesienią. Brał zawsze nowiutkie ubranie, a wracał w lachmanach — tak przy tej robocie z gradami wszystko niszczył i potar- gał. Jedyną korzyść, jaką z niego miała żona, to że ani jej, ani nikomu z jej rodziny grad nigdy nie niszczył pło- nów.

Planetników widywało się często. Szli samotni i nie można było poznać, kim są, chyba że czymś się zdradzili. Jeden taki obcy wędrowiec przystał do gazdy, na parobka. Chętnie go trzymali; był pracowity i posłuszny. Aż tu pew- nego razu całą chałupą wylegli su- szyc siano, a parobek z nimi. Pogoda była piękna, słońce, chłodny wietrzyk — nic nie wróżyło deszczu. Parobek mó- wił raptem do gazdy: „słuchajcie, bę- dziemy kłaść kopy”. Gazdę to zastano- wiło, że przecież nie ma sensu w samo południe przerywać suszenia, ale po- słuchał parobka. Słońce świeci, a oni w pośpiechu kładą kopy. Na sąsiednich polach ludzie się z nich śmieją — aż tu raptem, ledwie ostatnią kopę zwi- zali powróceni, nadleciały czarne chmury i w kwadrans całą wieś była zalana potokami deszczu; tylko ich sia- no ocalało. Wtedy dopiero zrozumieli, że parobek musiał być Planetnikiem.

Można się dowiedzieć, że są dwa ga- tunki Planetników, tacy, którzy żyją chlebem — ci, mieszkając we wsi, bę- dą ją chronić przed gradem, żeby i sie- bie nie pozbawić ziarna i nie skazać na głód, i inni, którzy jadają ryby. Rybierzom wszystko jedno, czy ludzie pomrą z głodu, czy nie. Dla nich im więcej wody tym lepiej, bo więcej w rzekach będzie ryb.

Z Planetników chlebojadów musieli się rekrutować ci, którzy jeszcze za pa- mięci ludzkiej odwiedzili Dębno. Raz takie niepile chłopisko przyszło do wsi. Pytało jeść w jednym domu — wy- gnali go. W drugim to samo. Dopiero w trzecim baba pogościła jak należy. A był to właśnie czas moczenia w rzek- kach lnu. Wdziękował pięknie za po- częstunek i żegnając się powiedział, że niebawem przyjdzie wielka woda i wszystkim we wsi len zabierze, zosa- wi tylko gościnnej gaździnie — potem wyszedł. Baba wybiegła za nim na po- le, ale go już nie zobaczyła, tylko ciężką chmurę, która zeszła aż na zie- mię i na której on podjechał. I rze- czywiście, przyszło oberwanie chmury, powódź i spośród wszystkich gaździn jej tylko jednej len jakimś cudem ocalał.

W pewien czas potem znowu obcy wędrowiec szedł od chałupy do chałupy prosząc o jedzenie i znow go prze- pędzono. Wreszcie w jednym domu po- stawiono przed nim obfite śniadanie. Nikt nawet nie podejrzewał, że może

to być Planetnik. Zmiarkowali dopiero gdy pojadłszy powiedział, że grad zbi- je wszystkie pola, tylko ich ominie. Podglądali go przez szparę w ścianie i widzieli jak wyszedł z chałupy; spu- ściła się z nieba chmura i zabrała go na swe barki. Zaraz potem przyszła gradowa chmura i rzeczywiście, tylko ich plony wyszły bez szwanku. Tak to z tymi niepilcami zawsze trzeba ostroż- nie, bo Bóg wie, kim się okażą.

Dziwe Żony odmieniają dzieci, po- rrywają ludzi, Graniecniki straszą na moczarach, Planetnicy niszczą nawal- nicą i gradem zbiory. Ale to jeszcze nie wszystkie złe moce, jakie czyhają na człowieka i jego dobytek.

Nocą do domów zakrada się trójca złych duchów: Strzygoń, Mara i Si- delko inaczej zwane Gneciuf. Strzy- goń i Mara piją ludzką krew, pierw- szy napastuje kobiety, druga mężczyzn. („Strzygoń jes, jak chłop, to wincy cho- dzi ku babom, Mara to jak baba, win- cy chodzi ku chłopom”). Nikt ich nie widział, bo to duchy i często duchy żyjących ludzi, tych, którzy „majom dwie duse”. Jedna siedzi w ciele, dru- ga wędruje po świecie i prześladowa ludzi. „Taki co ma dwa duchy nawet o tym wiedzieć nie musi”. Ich zbliża- nie się powoduje nieprzepartą sennosć. Dopiero, gdy ofiara zaśnie głęboko, to Coś zbliża się i ssie z żył krew. Rano znaleźć można na ciele człowieka sine ślady ostrych drobnych ząbków. Za mego pobytu w Dębnie, Strzygoń prześladował jedną kobietę. Pokazywa- ła mi ślady ugryzień. Sąsiadki poradzi- ły, by na noc wtykała warzęcę w dziurkę od klucza; Złe nie będzie miało którędy wejść. Zrobiła tak i poskutko- wało.

Jeśli Strzygoń czy Mara uweźmą się na kogoś i co noc urządzają sobie ucztę z jego krwi, ofiara taka staje się co dnia bledsza, słabsza, apatyczna, aż po pewnym czasie umiera. Mara chodziła do Grzegorza w Dębnie. Robiono wszy- stko, aby go uratować. Całymi nocami chłopci trzymali przy nim wartę, „mieli w garści powrósek od gaci, coby jom złapać jak przyjdzie”, bo jedynie pow- róskiem od gaci da się ją związać. Cóż kiedy była od nich sprytniejsza i ani raz nie pozwoliła się zobaczyć. Nie było na nią rady i chłop musiał umrzeć. Pytałem, czemu nie poszli do lekarza — Do lekarza? alboż lekarze znają się na duchach? — „Dochtorzy som od chorości zwykłych, a to nie była choroba ino Mara. Dochtor nic nie mógł pomóc”.

Mniej groźne od Mar i Strzygoni są Siodła-Gneciufy. „Przysiondzie toto cłek we śnie, dusi cie, ale se obudzić nimozes”. Napastuje zresztą tylko ludzi śpiących na wznak i poza uczuciem

ucisku, duszenia i lęku nic więcej zro- bić nie może. Gneciuf prześladowa ko- biety i mężczyzn. Pewna baba nama- cała go przez sen na swych piersiach. Był kudłaty jak pies, ciężki i gorący. Gazda z Brzegów bił się z nim w nocy, „jaze mu całom gembe zdrapalo”. Od- tąd sypia zawsze z nożem u boku dla obrony.

Na Gneciufa jest sposób prosty. Albo „trza wielkim palcem ruszyć w no- dzie co ślezie — a jak to Siodło rzuci- to się ino kołomaz śniego na ziemi zro- bi”, lub też, „kie mu naklnie, ale trza strasnie brzycko naklonć, to popuści”.

D o kolekcji złośliwych istot należy jeszcze jakieś bezosobowe niewidzialne „Złe”, które „wodzi”, czyli tak jakoś zatamani człowieka, że w najlepszej so- bie znanej okolicy potrafi błąkać się godzinami. I to nie tylko w nocy, ale i w dzień, zwłaszcza w południe. Naj- częściej „wodzi” tam, gdzie ktoś jest pochowany. Nie czuje się wtedy, że czas ucieka, nie poznaje znajomych okolic. „Ftej nie siednie, nimo jak odpocnoć, ino cobyś sed i sed”. Dopiero jeśli ktoś przypadkowo spotkany zawoła, wówczas wodzony „osota” się i dopiero wtedy pozna miejsce, dokąd zaszedł.

Jedyna stwora, która się może czło- wiekowi na coś przydać, to Inkluz. Jest to mały, niepozorny diabełek, żyjący na służbie swego właściciela-człowieka. Powoduje, że wypłacone pieniądze wra- cają same do kieszeni ich pierwszego właściciela — oczywiście, o ile ma on swego Inkluzę. Inkluzów trzymają ci, którzy dużo mają z pieniędzmi do czy- nienia, handlarze końmi, handlarze bydła — tacy, którzy „kupcom po jar- markach” wśród ludzi obcych. Handlarz np. nabędzie na jarmarku krowę, zapła- ci chłopu pieniędzmi na pozór uczciwie, ale zanim szczęśliwy sprzedawca doj- dzie do chałupy, trzosik jego sam opu- stoszeje, a cała gotówka za sprawą In- kluzę znajdzie się z powrotem w ręku handlarza.

Właściciel Inkluzę łatwo poznać — „kupcom we świecie i choć se im case nie udo, zawdy majom pełno pińyndzy”.

Po wielu wysiłkach dowiedziałam się w Krauzowie jak zdobyć Inkluzę. Otóż trzeba wyszukać całkiem czarną kure, ale bez jednego jasnego piórka, i wziąć spod niej jajko, którego ojcem jest równie czarny kogut. To jajko należy dzień i noc, przez 9 dni, nosić pod pa- chą, aż wylęgnie się z niego mały „djabełek” — „to jes Inkluz, co pi- ãiondzie do niego wracajom”.

d. c. na str 18



GDAŃSKI SĄD OSTATECZNY

Stanisław Wałęga

W LIPCU 1956 R. OBIEGŁA CAŁĄ POLSKĘ WIADOMOŚĆ O ODNALEZIENIU WSPANIAŁEGO TRYPTYKU GDAŃSKIEGO „SĄD OSTATECZNY” MEMLINGA. DOTYCHCZAS UWAŻANO GO ZA ZAGINIONY.

KOŚCIÓŁ MARIACKI W GDAŃSKU PRZED ZNISZCZENIEM W TOKU DZIAŁAŃ WOJENNYCH W 1945 R. ZAWIERAŁ WIELE BEZCENNYCH SKARBÓW SZTUKI. ZWŁASZCZA TRZY ZABYTKI TEJ ŚWIĄTYNI ZWRACAŁY POWSZECHNĄ UWAGĘ: „SĄD OSTATECZNY” MEMLINGA, OBRAZ NIESŁYCHANEJ WARTOŚCI ARTYSTYCZNEJ, OLTARZ GŁÓWNY KOŚCIOŁA — ARCYDZIEŁO SZTUKI SNYCERSKIEJ, WYKONANY W LATACH 1511—1517 PRZEZ SNYCERZA M. SCHWARTZA I WSPANIAŁY KRUCYFIKS, O TAK DOKŁADNYM, PIĘKNYM I REALISTYCZNYM WYOBRAŻENIU KONAJĄCEGO CHRYSZTUSA, ŻE AŻ DAŁO TO POWÓD DO POWSTANIA LEGENDY, MÓWIĄCEJ IŻ RZEZBIARZ TEGO KRUCYFIKSU UKRZYŻOWAŁ MŁODZIENCA, ABY MIEĆ DOKŁADNY WZÓR UMIERAJĄCEGO CZŁOWIEKA I UCHWYCIĆ WIERNIE WYRAZ BOLEŚCI KONAJĄCEGO.

Największą jednak chlubą gdańszczan był Sąd Ostateczny. Przez długie wieki nie wiadano, komu przypisać to arcydzieło sztuki malarskiej. Powszechnie uważano że jest to dzieło sławnego malarza niderlandzkiego Ja-

na van Eycka. Dopiero w 1843 r. niemiecki historyk sztuki Henryk Gustav Hotho wysunął przypuszczenie, że twórcą gdańskiego tryptyku jest malarz ze szkoły staroflandryjskiej, Jan Memling. Dopiero jednak w roku 1902

można było na podstawie wiarygodnych dokumentów udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że wspaniały tryptyk jest istotnie dziełem tego sławnego na swój czas mistrza w Bruggii we Flandrii — i że ukończył on pracę nad tym tryptykiem w 1473 r.

O tym, kto ten obraz zamówił, wiadano już wcześniej. Mianowicie na zewnętrznej stronie bocznych skrzydeł tryptyku widnieją — ówczesnym zwyczajem — wizerunki kłęczących fundatorów. Jak z umieszczonych pod spodem herbów i napisów wynika, byli nimi: przedstawiciel medycejskiego domu bankowego w Bruggii, florentyńczyk Angelo Tani i jego małżonka Katarzyna z domu Tanagli. Tryptyk zamówili dla jednego z kościołów florenckich. Los jednak zrządził inaczej — oczywiście wbrew woli florenckich fundatorów.

Twórca tryptyku „Sąd Ostateczny” — Jan (Hans) Memling (Memlinc), zwany też z holenderską „van Mimnelinghe” (lub zgola fałszywie „Hemling”) — urodził się około roku 1433 w Mõmmlingen koło miasta Aschaffenburga w Dolnej Frankonii. O życiu jego niewiele jest wiadomo. To, że miał służyć jako żołnierz w Niderlandach, że walczył w szeregach wojsk burgundzkich księcia Karola Śmiałego w bitwie pod Nancy i ranny dostał się do szpitala św. Jana w Bruggii we Flandrii, gdzie z wdzięczności za dobrą opiekę poświęcił swoją sztukę temu miłosiernemu zakładowi — jest bajką, powstałą w XVIII stuleciu. Jest natomiast rzeczą pewną, że Jan Memling swe zdolności plastyczne rozwijał w Brukseli pod kierunkiem słynnego malarza niderlandzkiego Rogera van der Weyden. W swej twórczości

ulegał także wpływowi innego malarza niderlandzkiego Dirka Bouts. Większość życia spędził Memling w Bruggii, gdzie też zmarł 11 sierpnia 1494 jako bogaty mieszczanin. W Bruggii powstały też jego najslawniejsze dzieła malarskie, z których większość znajduje się w tym mieście.

W obrazach swych Memling złagodził cierpką surowość swego mistrza Rogera van der Weyden i dał malowanym przez siebie postaciom, pomimo pewnej kanciastości i chudości — dużo powabności w ruchach, a delikatny wyraz ich twarzy i ożywiający je głębokie i prawdziwe uczucia przykuwają z wielką siłą każdego. Obrazy Memlinga cechuje nadzwyczajny przepych barw i dokładne wykończenie szczegółów. Stosownie do smaku swej epoki, lubił 'on jednoczyć po kilka scen na jednym obrazie. Pewna naiwność w sposobie narracji Memlinga, jego skończone mistrzostwo w opanowaniu barwy i modelowaniu oraz subtelna pieczołowitość wykonania nie miały sobie równych w tym czasie i dlatego zwłaszcza Włosi przenosili Memlinga nad innych artystów.

Wielka sława spowodowała, że przebywający w Bruggii kupcy florenccy Tomasso Portinari i Angelo Tani, którzy prowadzili w tym mieście biuro handlowe i kantor bankowy znanego domu bankowego Medyceuszów florenckich, zwrócili się do Jana Memlinga w 1468 r. z prośbą, by namalował dla nich tryptyk przedstawiający scenę „Sądu Ostatecznego”. Praca nad tym dziełem pochłonęła pięć lat, tak że dopiero w 1473 roku można było umieścić gotowe arcydzieło na galeonie florenckiej „San Tomasso” należącej do Tomasza Portinari najznakomitszego kupca florenckiego z przebywających w Bruggii.

W tym czasie toczyła się między Anglią a potężną Hanżą, wojna morską która wybuchła w roku 1467 z powodu nieuznawania przez Anglię przywilejów hanzeatyckiej faktorii handlowej w Londynie, tzw. Stalowego Dworu (Stahlhof, Steelyard). Z czasem przerodziła się ona w aktywną wojnę kaperską u wybrzeży brytyjskich, w której uczestniczyły między innymi okręty głównych miast hanzeatyckich: Lubeki, Hamburga i Gdańska (należącego do Hanzy od 1358 r.). Anglikom szczególnie dał się we znaki słynny kapier gdański, kapitan Paweł Beneke, krążący u południowych i południowo-wschodnich wybrzeży Wysp Brytyjskich na swej karaweli „Peter von Dantzig”. Celem zmylenia kaprów hanzeatyckich, galeona „San Tomasso” z tryptykiem Memlinga na pokładzie, wypłynęła na morze pod neutralną flagą burgundzką, kierując się w stronę Londynu. Tam tryptyk miał być przeladowany na statek płynący do Florencji. W kanale La Manche 27 kwietnia 1473 r. galeon florencki dostrzegł marynarze okrętu gdańskiego. Gdy nie chciała się zatrzymać na wezwanie Benekego — kaprzy gdańscy zdobyli florenczyka abordażem. Kilkunastu Włochów zginęło.

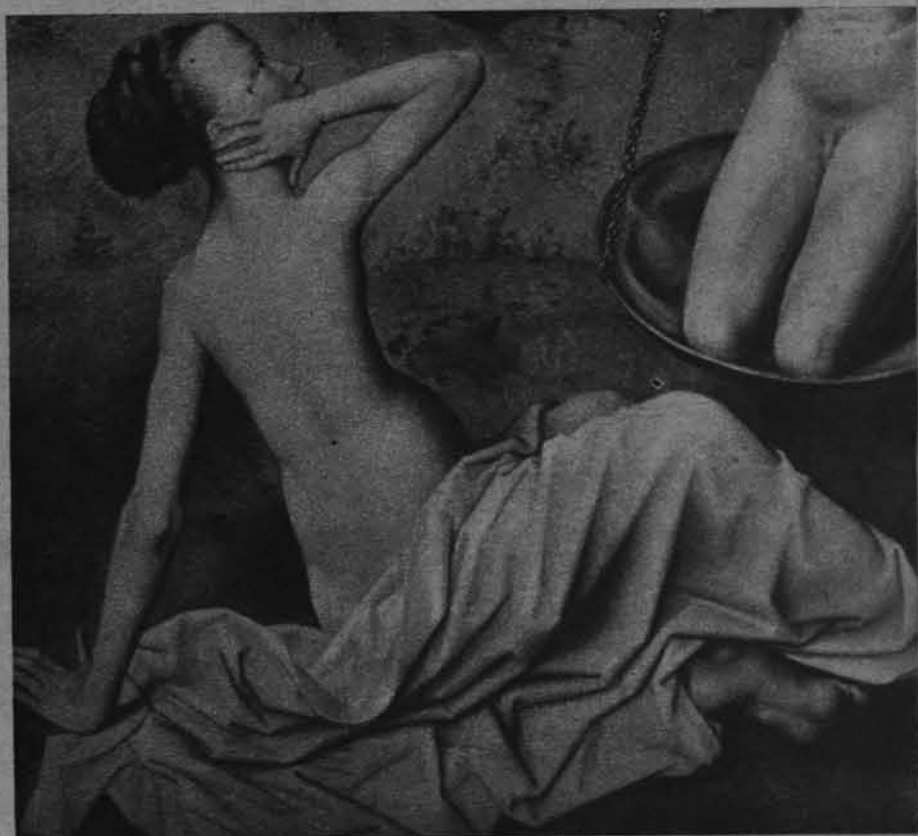
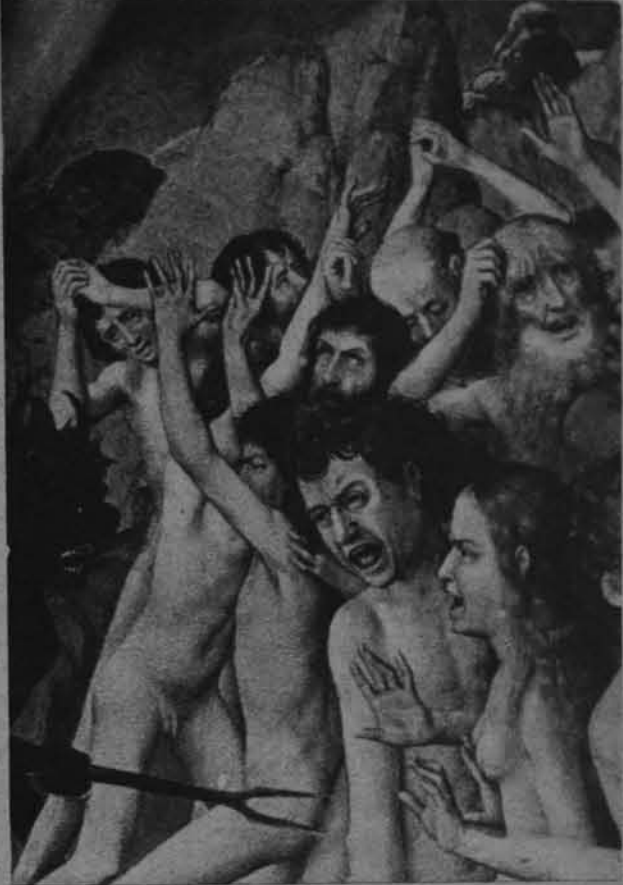
Po wielu perypetiach zawinął Beneke do Bremy, gdzie na terytorium należącym do arcybiskupa bremeńskiego, u ujścia rzeki Swingi — dokonał wspólnie z gdańskimi armatorami swego okrętu, kupcami Janem Sidinghusenem, Tidemannem Valandtem i Henrykiem Niderhoffem — podziału wo-

jennej zdobyczy. Część łupów została rozdzielona pomiędzy marynarzy, zaś większa część zdobyczy na którą składały się cenne sukna i materiały, futra, klejnoty i korzenie — zostały przewiezione do Gdańska. Pośród łupów znajdował się też tryptyk z „Sądem Ostatecznym”, oraz drugi nie mniej wartościowy obraz ołtarzowy, który jednak w niewiadomych bliżej okolicznościach zaginął wówczas bez śladu. Kapitan Paweł Beneke i trzej gdańscy armatorzy, jako właściciele zdobyczy wojennej — postanowili podarować wspaniały tryptyk gdańskiemu bractwu św. Jerzego, by umieściło go w kaplicy św. Jerzego w gdańskim kościele Panny Marii. Dopiero później przeniesiono tryptyk do kaplicy św. Reinholda w tym samym kościele.

Ołtarz Memlinga pozostał więc w kościele Panny Marii w Gdańsku, chociaż florenccy czynili usilne starania, aby go z powrotem odzyskać. Nie pomogły ani skargi prawego właściciela obrazu, florenczyka Angela Tani, ani protesty władców Florencji, Wawrzyńca i Juliana Medyceuszów, ani interwencja księcia Burgundii Karola Śmiałego, ani nawet bulla potępiająca i kłatwa rzucona przez papieża Sykstusa IV na pirata Pawła Benekego na wniosek krewniaków papieskich, Medyceuszów, oraz czterech znamienitych obywateli florenckich. Gdańszczanie nie ustąpili. Obraz ten stał się odtąd największym klejnotem Gdańska, pieczołowicie i zazdrośnie strzeżonym przez mieszkańców tego miasta. Dumni ze swej zdobyczy, o którą musieli walczyć z największymi powagami ówczesnego świata, gdańszczanie przypisali wnet swemu tryptykowi sto lat historii i jeszcze słynniejszego twórcę, wielkiego mistrza niderlandzkiego Jana van Eycka.

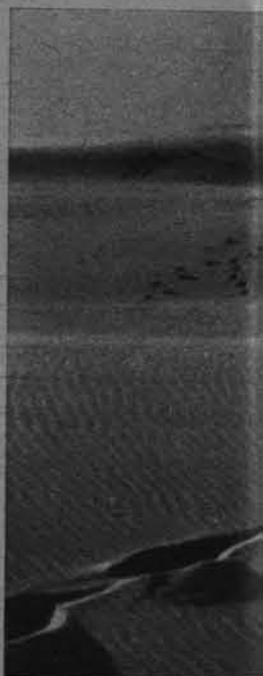
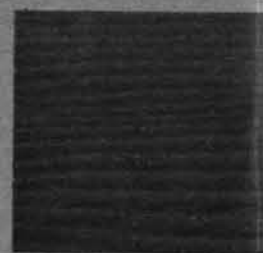
Malowidło Jana Memlinga „Sąd Ostateczny” jest wielkim tryptykiem o rozmiarach 3,05x2,22 m. Jak u większości tego rodzaju ołtarzy, dwa boczne skrzydła osadzone są na ruchomych zawiasach tak, że obraz można zamykać na kształt szafy. Na zewnętrznej stronie tych skrzydeł umieścił Memling wizerunki klęczącej pary fundatorów — postaci mniej ciekawe, odbijające od tła, jakie stanowią wymalowane w jednolitym szaroliliowym tonie postacie Matki Boskiej i św. Michała.

Obraz Memlinga jest tworem epoki, w której sztuka stała prawie wyłącznie na usługach Kościoła. Mimo to jednak dochodzi w nim do głosu swoisty realizm twórcy i głębokie ludzkie uczucia. Wnętrze tryptyku dzieli się na trzy części, z których centralna przedstawia właściwą scenę Sądu Ostatecznego. Na dźwięk puzonów unoszących się w powietrzu aniołów powstają z otwierających się grobów umarli. U góry na wygiętym łuku tęczy tronuje Chrystus jako najwyższy sędzia. Po jego bokach unoszą się wśród obłoków apostołowie, Maria i św. Jan Chrzciel. U dołu środkowej części obrazu stoi olbrzymia postać uskrzydłonego archaniola Michała, odzianego w złotą zbroję. Trzyma on szale wagi, na których siedzą sędzi. Obok inni trwoniście oczekują swej kolci. Na prawo od widza gromadzą się tłumy potępieńców pędzonych przez szatanów. Na lewo zbierają się sprawiedliwi. Tło obrazu stanowi daleka



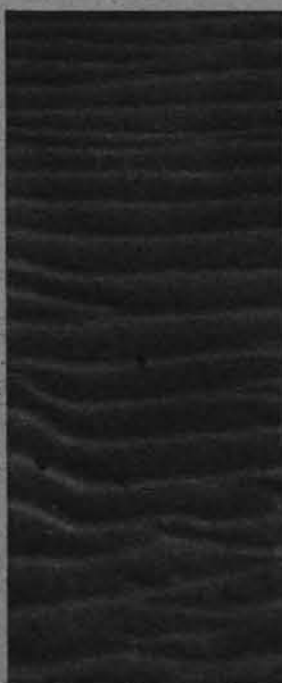
Ł E B A

STOPY GRZĘZNĄ W GORĄCYM PIASKU POZOSTAWIAJĄC NA LEKKO POFAŁDOWANEJ POWIERZCHNI GŁĘBOKIE ŚLĄDY. TU I ÓWDZIE NA SZCZYCIE PIASZCZYSTEGO WZGÓRZA JEŻĄ SIĘ SZCZECINIASTE KĘPY TRAW. W ZAKŁĘŚNIĘCIACH GRUNTU KŁADĄ SIĘ GŁĘBOKIE CIENIE I WTEDY WYDMY PRZYPOMINAJĄ CHWILAMI OLBRZYMIE ZASPY NAWIANEGO ŚNIEGU. NADMORSKA PUSTYNIA — OTO WRAŻENIE JAKIE NA PIERWSZY RZUT OKA ROBI WĄSKI PĄS ŁĄDU MIĘDZY MORZEM I JEZIOREM ŁĘBSKIM. TEN TAK CHARAKTERYSTYCZNY DLA POŁUDNIOWEGO WYBRZEŻA BAŁTYKU KRAJOBRAZ BYŁ PRZED WOJNĄ ATRAKCJĄ DLA LICZNYCH TURYSTÓW SKANDYNAWSKICH. SPOGLĄDAJĄC NAŃ POJMUJEMY ZAWARTĄ W ANDERSENOWSKIEJ LEGENDZIE WIZJĘ KOŚCIOŁA ZASYPANEGO PRZESZ PIAKSI.



**ZDJĘCIA:
WACŁAW NOWAK**

Rys. Janusz Smólski



Te wszystkie stworzenia znają Podhalanie dobrze z nazwy, często z wyglądu, zakresu działania, zwyczajów itd. Obok nich jednak do dziś w pełni żywe i aktywne są całe falangi przeróżnych Strachów nie nazwanych, bliżej nie określonych, a nieprawdopodobnie pomysłowych. Zdaje się, że jedynym celem Strachów jest przerażanie ludzi. Wśród nich działają całkiem zwykłe diabły, które najczęściej krążą wokół cmentarzy, miejsc, gdzie popełniono zbrodnie, wreszcie z reguły na rozstajnych drogach, pod mostami i na granicach wsi.

Granice między poszczególnymi osiedlami biegną przeważnie granicami wzgórz. Są to miejsca najbardziej oddalone od ludzkich zabudowań i kościoła, prawie zawsze skupiając się na dnie doliny nad potokiem czy rzeką. Na grani wzgórz, gdzie wiele nieużytków, jałowych pastwisk, kęp usypanych z kamieni i zarośli, biegnie zazwyczaj szeroki pas gruntów niczych, nie należących do jednego ani do drugiego osiedla. Nad tą bezpańską ziemią nie roztacza opieki żaden święty patron wsi, tutaj więc najczęściej osiedlają się moce diabelskie. Tu dawniej grzebano samobójców, tu w kępach i kopcach granicznych niezamężne matki zakopywały pomordowane noworodki, tu wyrzucało się różne utensylia czarodziejskie, obarzanek z gruźlicą zdjętą nań z przewłóconego chorego, choroby i nieszczęścia zaklęte w różnych przedmiotach itd. Nic też dziwnego, że na takich właśnie granicach zbierają się w wigilię św. Łucji czarownice i że tu odprawiają swe harce z diablami. Tu też władają wszelkie złe moce.

*

Obok diabłów straszaniem ludzi zajmują się wisielcy, topielcy, pokutujące dusze zmarłych z niezmażanym grzechem i inne złe moce. Są wreszcie Strachy, można rzec, same dla siebie, biorące się nie wiedzieć skąd. Całe to towarzystwo ochrzczone ogólnym mianem Strachów, działa pomysłowo, za każdym prawie razem inaczej, przybierając najwyszukaniejsze kształty.

Nie ma reguły na to, kiedy, gdzie i w jaki sposób straszy. Starożytny Suloz z Brzegów, który zna się na tych sprawach, zastanawia, że wiele razy chodził nocą, o północy, nawet koło cmentarza i nic nie widział, a czasem ni stąd ni zowąd spotkał Stracha — czyli że nie jest regułą, że w tych porach, czy w tych miejscach straszy. Twierdzi on, że „case się trefi tako godzina, że akurat człowiek na to wlezie, że to mo walur do człowieka. Abo człowiek z kimś nimo scynsca, nie pasuje ci do towarzystwa. Som tys ludzie co majom dwa duchy i tyn zły pasuje się z tym dobrym coby go zmóg i ftej go strasy”. Taki nieszczęśliwy sam nie zdaje sobie sprawy, że jest posiadaczem dwu dusz, ale i jego straszy, i tych, co z nim przebywają. (Suloz zastanawia dalej, skąd się to bierze, że w jednym ciele mogą przebywać dwie dusze. Może ktoś drugi miał się równocześnie narodzić, a nie narodził i ten jego duch wlaź w inne ciało, które już miało własnego ducha?)

Są strachy zwyczajne, które gdzieś

zastukają, cisną w ciemnościach jakimś przedmiotem, ukazują się jako cień i zaraz znikają. Czasem nawet nie widać ani słysząc, tylko człowieka ogarnia uczucie grozy — „Ono puści do człowieka strak”. Zdarza się jednak, że Strachy przywdziewają na siebie całkiem materialne kształty, działają z pewnym, sobie tylko wiadomym celem, konsekwentnie i przez dłuższy czas. Wiele takich przykładów umieją opowiedzieć mieszkańcy Murzasichla, którzy, zwłaszcza na halach słyszeli i widzieli niejedno.

Kiedys na hali Małej Łąki stał szalas, który się potem zresztą spalił. Pewnej jesieni poszła z krowami na Małą Łąkę pasterka z Zakopanego i zamieszkała w tym właśnie szalasiu. W ciągu dnia pasła sama, ale na noc, żeby jej było rańniej, przychodziła z dołu jej towarzysząca. Zwykle przed zmierzchem już była na polanie. Pewnego razu zdarzyło się, że towarzysząca nie przyszła o zwykłej porze, już się „mroczyło”, a jej jeszcze nie było widać. Pasterka raz po raz wyglądała do ąlebu, czy tamta nie nadchodzi, ale nie było widać żywej duszy. Nagle coś zwyżkało w lesie. „Podź, podź” w odpowiedzi odprysnęła pasterka przekonana, że to jej towarzysząca, po czym weszła do szalasu, roznieciła ogień i zaczęła „posługować”, ale tamta wciąż nie przychodziła, więc po raz wtóry wyjrzała. Zobaczyła, że coś z daleka nadchodzi. Wróciła do szalasu, podsycała jeszcze bardziej wiatr i ponownie wyszła naprzeciw towarzyszącej. Patrzy, a tu lezie „Coś” mało podobne do człowieka. Przerażona dziewczyna cofnęła się do szalasu. Drzwi same się za nią przymknęły, nie miała czasu wrócić i zaryglować je, gdy tymczasem to Coś otwiera drzwi i wchodzi do środka — „miało odziaty długi kozak do ziemi. U każdego stronka welny wiśioł łód. Jak się To ogrzało przy ogniu, otrzepało się, tak zalało colki ogień”. Dziewczyna ledwo żywa ze strachu miała jeszcze tyle przytomności, że ponownie rozdmuchała ogień, który ją od tego Czegoś odgradzał. Ale To znów się otrzepało i ponownie zalało ognisko. Rozdmuchała go jeszcze po raz trzeci, bo do trzech razy To jej ogień gasiło. Potem powiedziało To do niej: „Jesce ty mie raz, dziwce, zawolos, to niescynsliwa bedzies”, po czym cofnęło się i rozplynęło się w ciemności.

Dziewczyna miała teraz nauczkę, że nigdy nie należy odpowiadać na głosy, o których nie wiadomo na pewno od kogo pochodzą — zwłaszcza o zmroku, kiedy pełno strachów kręci się wokół człowieka, które tylko czekają na wezwanie człowieka. Człowiek sam nie wie, kiedy przez takie, nie w porę rzucone wezwanie, napyta sobie biedy, z której trudno czasem wyjść z całą skórą.

Dziewczyna miała szczęście. Wyzywanie Złego mogło skończyć się znacznie gorzej, jak w wypadku juhasów, o których opowiem.

Również na Małej Łące, a było to już bardzo dawno temu, pasło owce dwu juhasów. Przedtem było ich więcej, ale reszta zesłała już do wsi i tylko ci dwaj zostali. Byli młodzi, odważni, zuchowaci, przed szalasem mieli 6 psów, więc wydawało się im, że są

bezpieczni jak mało kto. Nie bali się też niczego i niczego złego się nie spodziewali. Aż tu jednej nocy zjawił się przed szalasem chłop wysoki ponad dach, a w ręce miał kij na 8 łokci długi. Strasznie wielki był ten chłop, dziurki od nosa miał jak pięści. — Psy siedziały skulone. Jeden z juhasów tak się przeraził, że słowa nie mógł przemówić, ale drugi, „straśnie śmiały”, pyta się tego wielkiego jakby nigdy nic: — „A jaki tyn kij?” — „A skorusowy” — (z jarzębiny) — powiedział to wielkie Coś i zniknęło.

Na drugą noc przysłała zaś „wielga becka i zaturlała się pode dźwirze. Tyn śmiały wżon do renców gielety i kćiol ąnimi iść do pola. — Usuń się — pedzioł do becki — bo ide psom warzyć. — I becka się uchyliła. Idzie nazad, becka zaś stoi pode drzwi. Znowu jej pedzioł i zaś się uchyliła. Tak nanosił w tyk gieletak wody do kotła, potem drzewo nanosił, a do becki ino jedno a to samo gadol. Jak jus wode uwarzył, wzion colki wrzontek i wylol na te becke. Zjencala okropnie, aze syćkie psy się porwały i utulała się. Ale pote bez trzy dni syćkie psy gunilo (pochorowały się na kiszki). Myśleli, że jus bedom mieć spokój. Ale na drugom noc zaś ik ciele strasyło — to tyn juhas wydrzyżnioł to ciele tak jak żrebie. Nie cekoł długo. — A były tam takie wrota z takim wielgim przeziorem. Jak un to żrebie wydrzyżnioł, to przyszło żrebie, leb bez tyn przeziór wrzizio, zymby wystawilo i zarzało. Jak tyn śmiały juhas uwiđzioł to żrebie, to niewiele myślency chycił głownie, taki paloncy kłetek, i dał mu po zembak. A żrebie ludzkim głosem pedzioł: — cekoł, doleś mi ty, dom ci i ja! —

Tyn juhas, co się to tak boł, trzona się jus od strachu i wyzwał tego drugiego coby śli ku owcom do kosora, tamby byli śmielsi. Kie ino wysli, Toto przyniesło ogrumny kamień, rzucilo śnim w salas, wgnietło salas w zimie i wrzasło: — dzis, doleś mi ty, dolek ci i ja!”

*

To bynajmniej nie koniec przebogatej kolekcji okropności, jakie w każdej godzinie nocy, a nawet dnia, można spotkać na swej drodze. Są przecież dusze zmarłych, prawie zawsze złośliwe i prawie zawsze skłonne wyrządzić krzywdę tym, którzy kiedyś byli im najbliżsi. Mimo wszelkich zabiegów, jakie po śmierci i w czasie pogrzebu praktykuje się, by uniemożliwić nieboszczykowi powrót w rodzinne progi, nieraz zdarzają się takie wypadki. Nieraz dusza zmarłego, zwłaszcza zmarłego w grzechu, nawiedza dom, prześladuje rodzinę, krewnych i znajomych. Najgroźniejsze są dusze zmarłych śmiercią nagłą, topielców i samobójców. Powiększają oni zastępy Strachów, ale mają też swoje własne, zwyczajowe niejako sposoby prześladowania żyjących. Topielec zawsze tak długo odbywa pokutę w rzece, dopóki ktoś następny nie utopi się i nie zajmie jego miejsca. Nic więc dziwnego, że wszelkimi sposobami starają się ściągnąć na

głęboką wodę dalsze ofiary. Najgorsi są jednak Wisielcy. Taki nie tylko straszy przez setki lat, ale jeszcze, w razie pochowania go w święconej ziemi, gotów sprowadzić klęsk żywiołowe na całą wieś. Dawniej dobrze o tym wiedzieli i Wisielców chowali na granicy wsi. Z takiej np. Ochotnicy wywozili ich na „karze”, a zimą na „gnatkach” na grań, pod sam Luban i tam w lesie grzebali. Porzucali przy tym karę lub gnatkę, by dusza zmarłego nie wróciła na nich do wsi. Leżały tam, dopóki nie rozpadły się w próchno — nikt ich nie śmiał tknąć. Pod szczytem Lubania jest 5 takich grobów, a miejsce to poznać można po wielkim płaskim kamieniu.

Na przełomie XIX i XX w. namnożyła się ilość kościołów, trudno już było pochować zmarłego bez wiedzy księdza, a księża nie pozwalali na wywożenie trupa poza wieś — stąd liczne nieszczęścia, jakie zaczęły spadać na ludzi.

Cupta z Obidowej opowiadał mi o swym koledze z czasów kawalerskich, z którym się „towarzysyli”. Zakochał się on w dziewczynie z dołu wsi i chciał się z nią żenić, ale ojcu ona nie pasowała, nie pozwolił. Parobek wpadł w taką rozpacz, że poszedł do Nowego Targu, upił się dla kurażu, wrócił do chałupy nad ranem i powiesił się „na sopie”. Działo się to około r. 1890. Cupta pamięta dokładnie tę noc i straszny wiatr, jaki się wtedy zerwał — a wiatr zawsze wieje, gdy się ktoś powiesi. Wszyscy we wsi wiedzieli, że parobek popełnił samobójstwo, nawet ojciec chciał go chować w lesie pod Turbaczem. W sprawę wdał się jednak ksiądz i że to stało się po pijanemu uznał, że parobka można chować na cmentarzu. Wybrali mu grób przy samym murze cmentarnym, ale bądź co bądź w święconej ziemi. — A tu jak zaczęło lać! Przyszły potem zimna i nawet, choć to było lato, przyprószył śnieg. Zdawało się, że wszystko w polu zmarnieje, że zapanuje nędza i głód.

Z księdzem nie było co gadać — uparł się i już. Chłopi zaczęli sami myśleć, jak ratować się od nędzy. Decyzja wreszcie zapadła i gromada wybrała kilku najśmielszych. Nocą, w najgłębszej tajemnicy przed władzami, podjechali na cmentarz, wykopali nieboszczyka, zawieźli go na granicę wsi i tam złożyli w ziemi. Następnego dnia zaświeciło słońce — wieś została uratowana.

*

Tak bywało! Mogą zaświadczyć to ludzie starzy, którzy sami, na własne oczy, widywali „selinijakie dziwy”. Nawet młodzi, jeśli mówią całkiem szczerze, bez obawy kpiny ze strony słuchacza, stwierdzają istnienie tych wszystkich stwor — tylko że teraz jest ich mniej, nie tak często ukazują się ludziom.

Dlaczego tak się dzieje? — czemu demony wód, pól, deszczów i wszystkie inne wycofują się z ingerowania w ludzkie sprawy? Już raz mówiliśmy o wytłumaczeniu, jakie daje wieś: „dziś som ludzie bierzmowane, duzo kościołów pobudowali i Złe nimo jus takiego przystymu jak dawni”.

Może to i prawda, ale mnie wydaje się inaczej. Każde stworzenie, czy to będzie człowiek, czy zwierzę, czy demon, aby mogło się swobodnie rozwijać musi mieć sprzyjającą atmosferę, klimat który mu odpowiada. Dawniej — jakżeż to tajemnicze „dawniej” — inaczej wyglądało od prozaicznego „dziś”. Ludzi było wtedy mało, o wiele mniej niż obecnie, nie kręcili się dniem i nocą po drogach. Mogłeś przejść o zmierzchu od wsi do wsi nie spotykając żywego ducha — a teraz? co chwila mija cię na gościńcu autobus czy motocykl, nie mówiąc o ludziach. Wieś nocą była ciemna. Z małych okienek ledwie sączyła się blada poświata łuczywa, a później zakopconej lampki naftowej, ciemniejszej od świecy. Już nawet kąty izby były ciemne, niezbadane. Po ścianach lały działające na fantazję wielkie cienie ludzi i zwierząt, a za progiem czułeś już tylko lepką ciemność sieni, gdzie nie wiedzieć co mogło się czaić. A dziś? — W wielu już wsiach przekroczenie kontaktu wystarcza, by wystraszyć cienie z całego obejścia, a jaskrawe snopy elektrycznego światła bijące z okien rozpraszają wszelki mrok za węglami i w opłotkach.

W tym wszystkim, w tym świetle, ścisisku i hałasie wyrosli ludzie, którzy wciąż się gdzieś spieszą, którzy nie mają czasu i nie umieją słuchać głosów przyrody.

Ileż nocnych tajemnic można było poznać wyruszając o północy, by dojść na rano na jarmark? — dziś często jedzie się koleją i autobusem. Ile widzieli juhasi na halach, gdzie jeszcze wtedy nie roilo się od turystów i wczasowiczów. Skończyły się nocne pascenia koni na odległych polanach leśnych, czuwania przy watrze węglarzy, gonciarzy, drwali, nocne eskapady myśliwych, rybaków i dawniej jeszcze zbójnickie wędrowki.

Demony, duchy i wszelkie strachy nie lubią cywilizacji, uprawnych pól bez szerokich miedz, kęp i zarośli, nie lubią dobrych dróg (gdzie tu topić w błocie podróżnych?), nowoczesnych mostów, które nie mają dziur, polamanych poręczy i z których trudno ściągnąć w wodną toń wędrowca. Są za słabe, by mierzyć się z autobusem lub pociągiem (łatwiej było spłoszyć konia i wywrócić sanki), za słabe, by podgryźć betonowe przęsła wiaduktu. Poza tym wszystkim mają one poczucie piękna, lubią cić, samotność i tajemniczość — a gdzie je teraz znajdą?

Pesymizm poniósł mnie za daleko — nie jest jeszcze tak źle z „Onym”. Nie każda wieś uległa tak gwałtownej urbanizacji jak Zakopane. Są jeszcze osady utopione w głębokich dolinach gorceńskich, odcięte lasem od zgiełku współczesności, są wście wokół pustaci Niziny Nowotarskiej, gdzie nocą mgła znad bagien niesie z sobą atmosferę tamtych, odległych czasów. Są wreszcie wsie bliskie Spisza, od którego przesiąka jeszcze żywy zabobon.

Ktoś, kto chce i umie widzieć średniowiecze, odnajdzie je tam w pełni jego romantycznego uroku. Może to źle, a może dobrze, że jednak gdzieś można jeszcze spotkać przeszłość.

A. KOWALSKA-LEWICKA



DAWNE POCZTY POLSKIE

Z WARSZAWY DO GRÓJCA

Karta Topograficzna Królestwa Polskiego wykonana w latach od 1822 do 1828 przez Kwatermistrzostwo Generalne Wojsk Polskich i ukończona w latach 1832—1843 przez zespół kartografów pod kierunkiem gen. Richtera podaje, że na odcinku drogi Warszawa—Grójec stacje pocztowe istniały w Grójcu, Tarcynie, Sękocinie i Warszawie.

Po roku 1815, w związku z ogólnym ożywieniem gospodarczym, ówczesne władze Królestwa Polskiego zaczęły intensywną budowę dróg. Ważne gospodarczo ośrodki miejskie postanowiono połączyć ze sobą najkrótszymi odcinkami dróg bitych, odbiegającymi często od tradycyjnych szlaków komunikacyjnych. Na czoło wysunęła się konieczność powiązania centralnego ośrodka Królestwa, Warszawy, z innymi ważniejszymi miastami. I tak między innymi powstaje warszawsko-krakowski „trakt bity pierwszego rzędu”.

Niezależnie od znaczenia gospodarczo-handlowego nowo zbudowany trakt stał się ważnym szlakiem pocztowym, umożliwiającym regularne, szybkie i wygodne przewożenie pasażerów, paczek i listów. To też wzdłuż nowej drogi zbudowano łańcuch stacji pocztowych. Na takich stacjach następowała przerwa w podróży. Pasażerowie odpoczywali i spożywali posiłki, a personel pocztowy zabierał paczki i listy oraz przepierał konie. Stacje tworzyły całe zespoły budowlano-usługowe. Składały się z budynku pocztowego, wozowni, stajni, kuźni i obszernego placu, na którym znajdowała się studnia.

Z czterech stacji pocztowych grójeckiego odcinka do dnia dzisiejszego dochowały się trzy: w Grójcu, Tarcynie i Sękocinie. W Grójcu stacja składała się z czterech parterowych budynków otaczających wewnętrzny zamknięty dziedziniec. Główny budynek zawierał zasadniczy urząd pocztowy, pokoje gościnne i salę restauracyjną. W pozostałych natomiast znalazły się mieszkania personelu, wozownia, stajnia

i kuźnia. Stojący równolegle do traktu budynek główny o klasycystycznej elewacji osiowej i dachu czterospadkowym tworzy zwarte kompozycyjnie założenie centralne wraz z dwoma budynkami gospodarczymi. Podobne założenie posiadała stacja pocztowa w Sękocinie. Obecnie brak tu już jednego budynku gospodarczego. W Tarcynie zachował się tylko budynek główny. Kryje go naczółkowy dach gontowy. Ponad zamykającą wjazd bramą wznosi się facjatka z dwoma oknami zwieńczonymi trójkątnym szczytem.

W okresie późniejszym, już po złamaniu monopolu poczty na utrzymywanie komunikacji, powstają na drodze między Warszawą a Grójcem w odległości 3—4 km od siebie tzw. zajazdy. Pozostałości takich zajazdów zachowały się do naszych czasów w Szczepnej, Szczerbówce, Grzędach, Wygodzie, Raszynie i Żaluskach. Najciekawsze i najlepiej zachowane zespoły znajdują się w Grzędach i Wygodzie. Pierwszy z nich składa się z budynku stajennego, zajezdnego i mieszkalnego (dla personelu zajazdu) oraz drewnianej kuźni.

Całość stoi wzdłuż drogi, a pierwszy i ostatni budynek wysunięto do przodu tak, aby tworzyły otwarty dziedziniec. Uzupełnieniem tego założenia jest żuraw studzienny. Zajazd w Wygodzie tworzy założenie podobne.

Charakterystyczną i wspólną cechą omówionych założeń jest ich lokalizacja. Wszystkie one zostały usytuowane po prawej stronie traktu jadąc z Warszawy w kierunku Krakowa.

Henryk J. Świderski

U góry — obraz Rosena przedstawiający postój gen. Skrzyneckiego przed stacją pocztową w Kaliszu. Z prawej — (od góry) dawna stacja pocztowa w Tarcynie, stacja pocztowa w Sękocinie, zajazd w Wygodzie, zajazd w Grzędach.

Fot. H. Świderski



W SUWALSKIEJ WIOSCE

Oto kilka zdjęć z wędrowki do wsi Szurpily, w powiecie suwalskim. Leży ona nad jeziorem o tej samej nazwie, w malowniczej okolicy, poświadczanej morenowymi wzgórzami. Raz po raz wzdłuż drogi piętrzą się stopy zebranych z pól głazów narzutowych. Miejscami na całą szerokość polnego traktu rozlewają się olbrzymie kałuże. Tu i ówdzie sterczą samotne krzyże. Jedne, jak ten, który stoi tuż za wsią na niewielkim wzgórku oznaczają miejsca dawnych cmentarzy epidemicznych. Inne patronują miejscom tragicznych wydarzeń, już dziś niejednokrotnie przez miejscową ludność zapomnianych. Ale mimo tego zapomnienia mieszkańcy poczuwają się do obowiązku odnawiania murszejących ze starości krzyży. Tak właśnie bywało z krzyżem koło zagrody Siewjów, kilkakrotnie już przez nich rzezanego na nowo „podług dawnej formy”.

Przed wojną przeprowadzono w Szurpilach komasację gruntów. Powstały kolonie i większość zabytków dawnego budownictwa ludowego uległa zniszczeniu. Ale nawet w nowych zagrodach sporo jeszcze można znaleźć relikwii dawnej kultury ludowej, jak choćby owa ogromna „krzynica” służąca do przechowywania ziarna. Ten drażony w jednym pniu schówek pamięta chyba czasy, kiedy ubierano się tu w rogatę, obszyte barankiem czapki „na cztery

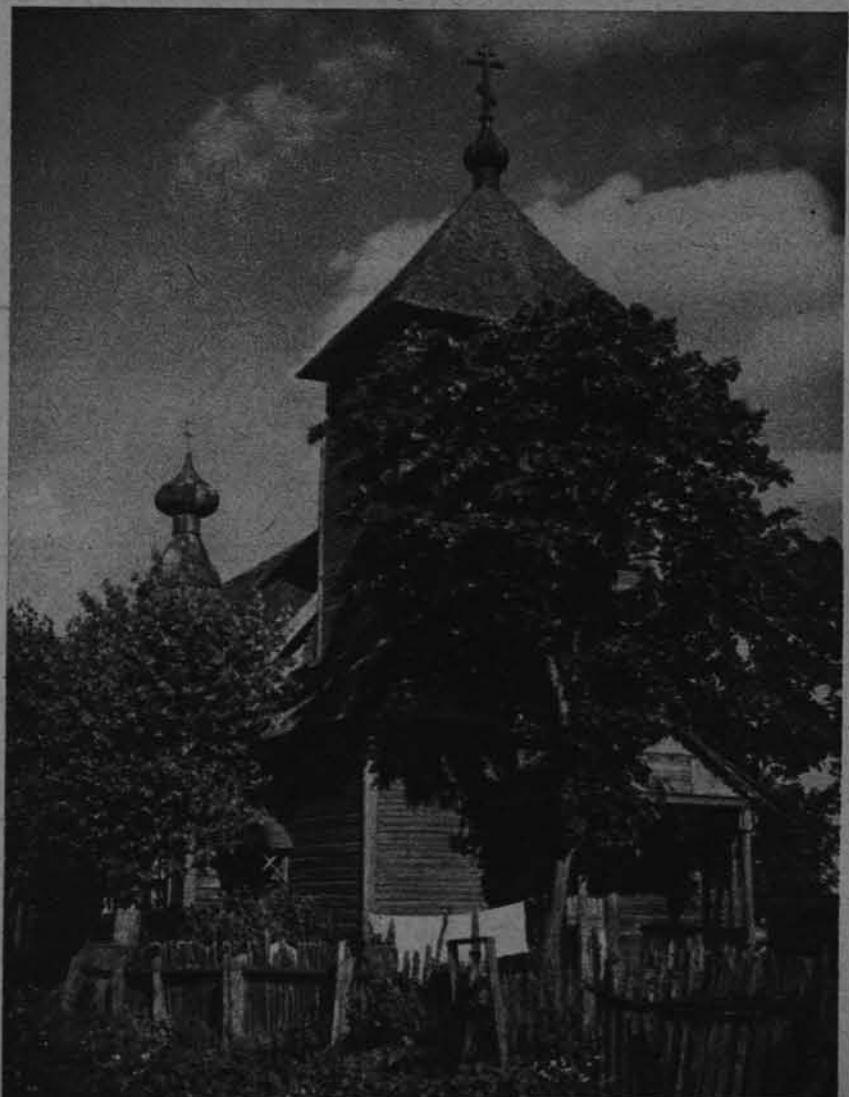
gubernie” i misternie marszczone w harmonijkę buty.

Za wsią wznosi się gołe wzgórze „Łysocha”. Tu — jak głosi miejscowa tradycja — znajdują się „mogilki pogańskie”. Słuszności tego poglądu dowiodły przeprowadzone niedawno w okolicy wykopaliska archeologiczne. Inna znów tradycja związana jest z dużym granitowym głazem na skraju epidemicznego cmentarza. Ktoś wyrył na nim kiedyś odwrócony napis 6/X/16/88. Obok widnieje znak przypominający literę „W”. Kto i kiedy wyrył napisy na kamieniu — nie wiadomo. Miejscowi ludzie przypisują powstanie napisu wojskom Napoleona, które wtedy wracały z wyprawy na Moskwę i w Szurpilach miały nawet zakopać skarbiec armii francuskiej, aby nie wpadł w ręce nieprzyjaciela. Niektórzy jednak uważają, że napis wiąże się z epidemią czarnej zarazy, która szalała tu w roku 1688.

I jeszcze jedna pozostałość z przeszłości: mała drewniana cerkiewka. Nie wiązała się ona jednak funkcjonalnie z kulturą tutejszych chłopów. Zbudowali ją wprawdzie w XIX wieku polscy cieśle lecz dla rosyjskich przybyszów, osiedlanych tu przez cara po upadku Księstwa Warszawskiego.



Opracowane na podstawie korespondencji T. Zurowskiego



perspektywa równiny usianej grobami. Największe wrażenie sprawia skrzydło prawe, przedstawiające upadek potępionych w płomienie, buchające pomiędzy skał piekielnych. Płomienie te stanowią jaskrawy i pełen grozy kontrast w stosunku do czarnej otchłani i jasnego tonu ciał. Tłum nagich postaci potępionych i tryumfujących biesów wijąc się i kłębiąc pędzi w dół ku otchłaniom piekielnym.

Lewe skrzydło tryptyku przedstawia sprawiedliwych, wstępujących po schodach, które wiodą ku wspaniałemu gotyckiemu portalowi. Przy tej przedstawionej nieco naiwnie gotyckiej bramie raju stoi św. Piotr z kluczami i podaje rękę przyklękającym przed nim wybrańcom. U góry aniołowie ubierają ich w szaty godowe. Jeden z aniołów czuwa, by nikt niepowołany nie wilił się do nieba.

Sławę swoją „Sąd Ostateczny“ zawdzięcza przede wszystkim znakomitości przez średniowiecznego artystę odtworzoną postaciom. Każda z tych ponad stu postaci stanowi swego rodzaju zamkniętą całość, wyrażając twarzą i gestem całą gamę uczuć. Najciekawsze są pod tym względem potępieni. Ich przerażenie jak i tragiczna rozpacz nader sugestywnie działają na widza. Z drugiej znowu strony malarz oddał realistycznie błogostan sprawiedliwych wstępujących do raju. O ile kobiety na obrazie nie grzeszą dokładnością proporcji ciał, to młodzieńcy zbliżający się w ekstazie do bram nieba, jest pod każdym względem doskonały. Jego sąsiedzi zostali przez malarza potraktowani już bardziej konwencjonalnie. Natomiast oblicze dzierzącego sędziowską wagę archaniola jest niemal kamienne. Nie widać na nim ani radości ani smutku — tylko nadziemską powagę. Szczególnie pełna wyrazu jest postać kłęzącego właśnie na szali mężczyzny. Ponieważ w owych czasach było zwyczajem, że artyści uwieczniali się na obrazach na czołowym miejscu, przeto można by przyjąć, że tą kłęzącą postacią jest sam malarz. Wskazówek co do tego być może dostarczałaby srebrna płytka wprawiona w drewniany spód obrazu i później zamalowa-

na. Trudno ją jednak oddzielić bez uszkodzenia znajdującego się na niej fragmentu malowidła. Istnienie tej płytki zostało stwierdzone w czasie konserwacji tryptyku w roku 1851.

Pierwzoplanowe nagie postacie środkowego obrazu dają się bez wyjątku rozpoznać jako portrety członków ówczesnej kolonii florenckiej w Brugii. Wśród nich wyróżnia się postać najznakomitszego z ówczesnych florentyńczyków brugijskich i niefortunnego właściciela zagarniętej galeony — Tomasza Portinari. Ponadto artysta, idąc za wzorem Dantego i kierując się właściwym tej epoce tendencyjnym niewyszukanym sposobem ekspresji artystycznej — umieścił jednych florentyńczyków wśród potępionych a drugich wśród sprawiedliwych, w zależności od tego czy byli przyjaciółmi czy też wrogami fundatora obrazu.

Każdy szczegół i każda postać obrazu namalowana została z najskrupulatniejszą dokładnością. Na twarzach najmniejszych nawet postaci można rozróżnić każdą zmarszczkę, każdy włos, ba, nawet światło na źrenicy. Na szatach aniołów widzi się dokładnie każdy z błyszczących brylantów. Nie wydaje się więc przesadą twierdzenie niektórych historyków sztuki, że Memling pracował nad tym obrazem nie pięć, lecz piętnaście lat. Podziw budzą również po mistrzowsku oddane wyrazy twarzy — trwoga, nadzieja, przerażenie, wszystkie stopnie rozpacz.

Wartość dzieła Memlinga potęguje wspaniały koloryt. Zaskakują w nim tonacje barw i świetlne refleksy. Całość utrzymana jest na ogół w ciepłym bardzo spokojnie zróżnicowanym tonie, pozbawionym gwałtownych kontrastów. Uwydatnia się to szczególnie w prawym skrzydle obrazu — w piekle. Dominuje tu niemal wyłącznie jasny róż ciał, kontrastujący z ciemnym brązem skał i czerwienią płomieni. Do zalet tych dochodzi jeszcze konsekwencja w rozkładzie płam jasnych i ciemnych, nie rażąca oka symetria i przejrzystość koncepcji.



W przeciwieństwie do zainteresowania, jakim cieszy się powszechnie w Polsce ruch filatelistyczny — wiadomości historyczne o poczcie polskiej pozostają w żalosnym zapomnieniu. Trudno zresztą nawet mówić o zapomnieniu, skoro właściwie historia poczty nie została u nas w ogóle opracowana, a groźno zainteresowanych tą specjalną dziedziną wiedzy jest niezwykle szczupłe.

Dlatego sygnalizując pojawienie się ciekawej książeczki należałoby powiedzieć kilka słów o jej autorze. Nie jest to bowiem pierwsza jego publikacja z zakresu historii poczty: Aleksander Śnićko jest autorem około trzydziestu mniejszych lub większych artykułów o tej tematyce, które ukazały się od r. 1949 w różnych czasopiśmie, głównie w *Łączności*, *Stolicy*, *Problemach*, a ostatnio także w *Ziemi*.

Autor jest długoletnim badaczem przeszłości poczty, który poświęcił się tej problematyce. Jako dyrektor jedynej na terenie kraju Muzeum Poczty, otwartego niedawno we Wrocławiu (w miejsce dawnego, istniejącego w Warszawie, a zniszczonego w czasie wojny) — swym osobistym wkładem przyczynił się w znacznej mierze do zebrania, pomnożenia i opracowania zbiorów.

Częstkowym owocem prac są m. in. *Szkice*, rzecz ciekawa nie tylko dla zajmujących się problematyką poczty, lecz także dziejami Śląska. Praca składa się z piętnastu pozornie luźnie ze sobą związanych artykułów; ale takie rozdziały jak „Poczty klasztorne“ (w XIII i XIV wieku), albo „Polak pocztmistrzem wrocławskim“ (o Władysławie Klemencie Michałowskim, II poł. XVII wieku), czy „Jak zorganizowano Poczta Polską na Dolnym Śląsku“ (w pionierskim roku 1945) — tylko konstrukcyjnie nie łączą się ze sobą. Ale temat jest jeden i rozwój poczty śląskiej daje się prześledzić. Przyczynkowy charakter pracy jest niewątpliwie formą, która poprzedzi obszerniejszy zarys.

Artykuły napisane przystępnie oparte są w większości na dokumentach, co podnosi ich wartość; ich publikacja najczęściej po raz pierwszy dodaje pracy znaczenia, jednakże poziom poszczególnych rozdziałów nie jest jednoli-

SZKICE Z DZIEJÓW POCZTY ŚLĄSKIEJ

ty. Ale *Szkice* nie mają być bynajmniej pracą naukową — ich wydanie ma na celu przede wszystkim popularyzację tematu i nie zawęża swego przeznaczenia dla określonej grupy czytelników.

Miłym uzupełnieniem tekstu jest przeszło 30 ilustracji, niestety kiepsko reprodukowanych i absolutnie za mało objaśnionych. Trudno, wymaga się dzisiaj, aby ilustracje należące do dawnej ikonografii były odpowiednio opisane, z podaniem skąd dany widok pochodzi.

Dziwnymi też drogami poruszają się sprawy wydawnicze: sądząc z przedmowy i reklam (bo wyraźnie tego nie podano) — nakładcą tej książeczki o Śląsku jest... Państwowy Dom Harcerza w... Hrubieszowie (woj. lubelskie). Więc chociaż to terytorialne pomieszczenie nie przeszkadza mi nadal dziwić — warto zasygnalizować cenną inicjatywę placówki niewątpliwie głęboko prowincjonalnej, co jest wkładem w najszerszej pojętą walkę o „odcentralizowanie“ ruchu wydawniczego. Z drugiej strony ta prowincjonalność wydawnictwa (na pewno przez „teren“ nie zawiniona), dała się we znaki książce: drukarnia w Zamościu prawdopodobnie nie dysponowała ani lepszym papierem, ani lepszą oprawą — i jedno i drugie słabiutkie; nawet ciekawie pomyślana okładka z wykorzystaniem XVIII-wiecznego sztychu i tematyce pocztowej w tych warunkach „wyjść“ nie mogła.

No, ale trudno. Pocieszymy się, że jest to skromny wprowadzić, ale dopiero początek — dobrej i potrzebnej pracy.

(M. K.)

PS. A gdzie książkę można nabyć? W handlu księgarskim jej nie ma.

W następnym numerze przeczytacie jakie były dalsze losy tryptyku. Stał się on przyczyną zatargu dyplomatycznego i przedmiotem sądowego sporu. Padł ofiarą rabunku i cudem uniknął zniszczenia. W ciągu ostatnich dwu wieków cenny obraz Memlinga przewędrował całą Europę.



OGIER W GDAŃSKU

17 maja 1635 roku przybył okrętem do Gdańska Imć Pan de Mesmes, poseł króla Francuzów, Ludwika XIII Sprawiedliwego, dla mediacji w mających się odbyć rokowaniach pokojowych między Polską a Szwecją. W świecie jego znajdował się, jako drugi sekretarz poselstwa, Karol Ogier, prawnik z wykształcenia, dyplomata z okoliczności (a może głównie — z ambicji), literat i bibliofil z zamiłowania. Inteligentny, baczny obserwator różnych przejawów życia, Ogier zabrał się w czasie trwania tego poselstwa (zanim przybyło ono do Polski odwiedziło Danię i Szwecję) do pisania dziennika. Ukazał się on drukiem w roku 1656; jego tytuł (w tłumaczeniu z łaciny): Dziennik czyli podróż duńska, szwedzka, polska Karola Ogiera, gdy towarzyszył najdostojniejszemu Klaudiuszowi de Mesmes hrabi d'Avaux, nadzwyczajnemu posłowi do królów Północy.

Wiele opisów w tym dzienniku autor poświęcił swemu pobytowi w Gdańsku. Warto tu podać niektóre jego spostrzeżenia odnoszące się do tego miasta, które — wedle słów Ogiera — „należy do najprzedniejszych w Europie, w całej zaś strefie jest bez ochyby najprzedniejsze”!

Rzeki i morze oraz fortyfikacje „wedle reguł zbudowane” — podaje Ogier — czynią z Gdańska miasto warowne. Fortyfikacje na dole oprawione są murem kamiennym, a w górze, „by i dla oczu była uciecha”, ozdobione zielonymi trawnikami. Nad miastem wznosi się wzgórze, u którego stóp rozciąga się „przedmieście grzeczne”, przecięte rzeczką, przez którą przerzucano liczne mosty.

Wiemy, że wzgórze owo (zresztą jest ono jednym z wielu, które od zachodu przylegają do miasta) to Biskupia Górka, rzeczką — to kanał rzeki Raduni, a przedmieście — Stare Sakoły, zamieszkałe wówczas przez rękodzielników, z których — jak również podaje Ogier — niemal wszyscy są anabaptytami (członkami sekty później zwanej menonitami).

Ogier podkreśla, że w mieście jest duża obfitość „studzien ślicznych, które ku wielkiej są ozdobie ulic miasta”. Najpiękniejszą jest studnia na placu przed ratuszem (a więc — sławna Fontanna Neptuna przed Dworem Artusa, obok Ratusza Głównomiejskiego). Ale także i na dworcach prywatnych są studnie „bijące wodą najobficiej” dzień i noc.

Z architektury miasta sekretarz poselstwa francuskiego interesuje się najbardziej domami patrycjuszowskimi. Opisuje, że domy te budowane są tak, że wstępuje się do nich po schodach, po czym następuje przedproże z ławami, skąd gdańszczanie przyglądają się przechodniom (sławne gdańskie przedproża!). Bramy są kunsztownie wyrobione i rzeźbione, na wielu z nich są wyrzeźbane godła, herby i sentencje. Ścian jest wielka i wysoka. Ściany wszędzie drewnem wykładane lub pokryte malowidłami. Wokół znajdują się długie ławy, a nad nimi ustawione „w ordynku” szklane puchary i różne bardzo ozdobne naczynia garncarskie (ich opisowi w przeszło dwieście lat po Ogierze pocięto miejsca poświęca Deotyma w swej *Panience z okienka*). Ogier podziwia też piękne lampy i świeczniki, często rozmieszczone na rogach jelenich lub woli; dodaje tu, że rogi takie są bardzo cenione i poszukiwane jako ozdoby w Szwecji, Danii i w Pikardii.

Zajmuje się też opisem Dworu Artusa, który przypomina mu gospodę św. Gerwazego w Paryżu. Pisz o malowidłach znajdujących się w tym Dworze, oraz że „są tam i liczne postacie świętych, jakoż i innych bohaterów; historie prawdziwe pomieszane ze zmyśłowymi opowieściami. Tu możesz ujrzeć Archaniola Michała, św. Krzysztofa, Sebastiana i im podobnych — ówdzie Merkurego, Bakcha, Akteona i Dianę z nimfami, co dłonią wstyd swój osłaniają”.

Przed Dworem Artusa jest bardzo duży plac (mowa tu o Długim Targu), gdzie mieszczanie załatwiają swe sprawy handlowe i kupieckie „tak jak się

dzieje na giełdzie paryskiej lub liońskiej”.

Rodzinne miasto Paryż przypomina się Ogierowi także, gdy się przechadza pod miastem, Gdańsk bowiem, tak jak Paryż, otoczony jest ogrodami (pięknym ogrodów otaczających Gdańsk Ogier zajmuje się kilkakrotnie w swoim Dzienniku).

Ogier bywa często sam albo towarzysząc posłowi, w kościołach i klasztorach gdańskich. Poznał na przykład kościół św. Brygidy (lecz podał fałszywe informacje o jego powstaniu, opierając się zapewne na krążących wśród gdańszczan podaniach). Bywał też w kościele św. Józefa (karmelitów, przy dzisiejszej ulicy Elżbietańskiej), u dominikanów (na granicy Starego Miasta z Głównym Miastem) oraz w kościele i kolegium jezuickim w Starych Szkotach, a więc bywał w tych kościołach, gdzie się odbywały nabożeństwa katolickie i które polska ludność Gdańska licznie odwiedzała.

Zwiedził też główną świątynię Gdańska — kościół N. M. Panny. Podziwia jego ogromne rozmiary (od siebie dodamy, że jest to jeden z największych kościołów w Europie), jego organy, nagrobki oraz sławny obraz Memlinga „Sąd Ostateczny”, który — jak podaje autor (opierając się na opowiadaniach gdańszczan) — cesarz niemiecki Rudolf II chciał odkupić za 40 000 talarów. Ogier wspomina też o pięknej chrzcielnicy zamykanej spiżowym okratowaniem, szacowanej na 17 000 talarów, „z pełnego bowiem metalu jest wszystko, i słupki i postacie”.

Oto w skrócie wrażenia Ogiera z jego tygodniowego pobytu w Gdańsku. 24 maja rozpoczęły się w Sztumskiej Wsi (wtedy między Malborkiem a Kwidzynie) rokowania polsko-szwedzkie i Ogier podążył tam za swoim zwierzchnikiem, hr. d'Avaux. Po zawarciu rozejmu wrócił jeszcze (29 września tegoż roku) do grodu nadmotławskiego i przebywał w nim aż dziewięć miesięcy.

Zygmunt Brocki

TATRY BEZ GÓRALÓW

straciłyby połowę interesu — czytamy w anonimowej pracy *Podróż do Tatrów*, publikowanej w krakowskim *Powszechnym pamiętniku nauk i umiejętności* w roku 1835. W opisie tym znajdujemy ciekawe szczegóły obyczajowe. Autor najniewzruszliwiej zbyt pochopnie generalizuje, opisując fakty, z którymi się zetknął. Niemniej ta relacja z pierwszej połowy XIX wieku stanowi cenną informację dla etnografów badających obyczaje ludu polskiego. I tak okazuje się więc, że *Górali mają wszystkie wdzięki płci swojej, tak jak górale męskiej i wiedzą o tym, dlatego przy pięknej budowie smukłego ciała o niepospolitych rysach, widoczną okazują staranność o płęć delikatną i są co za tym idzie, niepowściągnięte zalotnice. Zresztą owa szczerość, uprzejmość, śmiałość, rozmowność są wspólne obydwu płci góralom.*

Zarty jednak z mężczyznami mniej są bezpieczne. Obrażenia, krzywdy, niełatwo przebaczać, a zemsta z nadzwyczajną ich zuchwałością i pogardą śmierci złączona, może być straszna; szczęście tylko, że miłość, to niewyczerpane źródło pojedynków dla stanu oświeconego, prześlizga się obojętnie po sercu dzikich góralów. Cnota Lucretji niewiele ma u nich powabu; zwykle najlepiej wychodzi za mąż dziewczka, która mężowi wprowadzi do pomocy w gospodarstwie kilkoro pańszczybów. Jeżeli gdziekolwiek położenie rolniczego ludu mało płci oddziela, to u góralów najmniej. Nie przerazi tam dziewczyny całodzienne sam na sam z mężczyzną, przy trzodach wśród gór i lasów przebywanie. Tę wyrozumiałość względem swoich dzieci mają nawet rodzice. Nic dziwnego, że matka rozkazuje córce posłać na jej łóżko dla gościa, ułożyć ją obok niego i z uśmiechem — dobrać noc powie.

Nadesłał Józef Dużyk

NIEMCEWICZ O PIJAKACH

„Popasając w karczmie zastałem w izbie pełno naszych chłopów polskich i kolonistów Niemców. Nigdy mocniej nie uderzyła mnie różnica między rolnikami dwóch narodów. Kmieciowie polscy, hojnie traktując się gorzałką, wrzeszczeli i śpiewali, całowali się jak najrzęwniej; na drugiej stronie czterech kolonistów, złożony się na szklankę piwa, smoktali ją wszyscy powoli, ponuremu smoktaniu temu towarzysząc harmonijną języka swego rozmową. Lepsza zapewne wstrzemięliwość niemiecka, od naszego pijactwa bez miary”.

J. Ursyn Niemcewicz *Podróż historyczna po ziemiach polskich między rokiem 1811 a 1828* odbyte.

Wzniesiona w roku 1588 Brama Wyżynna stanowiła główny wjazd do renesansowego Gdańska. (sztych Deischa z r. 1765).



POŻEGNANIE P N I O W A

Nasza znajomość nie trwała długo. Nie trwała więcej niż godzinę. Było to 31 sierpnia 1955 r. Jadąc z Opola do Bytomia zboczyłem — tuż za Toszkiem — z szosy głównej. W pośpiechu który niestety zawsze towarzyszy moim wyprawom, wykonałem kilka zdjęć, potem odnalazłem kościelną, a gdy ta z pewnym ociąganiem otwarła kościół, „cyknałem” jeszcze trzy zdjęcia stropu i natychmiast ruszyłem w dalszą drogę. Mniej więcej w pół roku później — 13. II. 1956 r. kościół w Pniowie z nieustalonych przyczyn spłonął.

Żałuję teraz owej na pół obojętnej postawy wobec poznawanych zabytków: „przecież jeszcze kiedyś tu powrócę”. Żałuję, że zamiast kilku zdjęć zrobionych trochę „aby zrobić” nie wykonałem, przy niewielkim stosunkowo nakładzie czasu i pracy dokładnej fotograficznej inwentaryzacji zabytku.

Próżne żale. „Pniowa” już nie ma. Nie ma jednego z najpiękniejszych i najstarszych kościołów modrzewiowych Śląska. Zostały zetłale belki zrębu i niemieckie pomiary. I to dobre. Ileż zagięło — w innych okolicach Polski — drewnianych zabytków, i to nawet w ciągu ostatnich lat, po których nawet śladu nie pozostało (jak np. po kościele w Iwkowej w pow. brzeskim). Nie wiem jaki jest stan pozostałych fragmentów kościoła w Pniowie. Może podjęte będą próby odbudowania zabytku. Ale bezpowrotnie przepadł czar budowli, jej miękkość pod zielenią starych drzew przycupniętej bryły, urok ciastnego wnętrza, urok późno-gotyckiego malowidła na stropie.

Kościółek zbudowany został w r. 1506 lub niewiele wcześniej (data w napisie o treści dewocyjnej pod stropem). Należąc do grupy najstarszych kościołów na Śląsku posiadał ową prostą „gotycką” (o ile określenia stylowe w ogóle pasują do dzieł budownictwa drewnianego) bryłę złożoną z dwóch zbliżonych do kwadratu przestrzeni: niewielkiego prezbiterium i nieco szerszej nawy. Wieża powstała zapewne o wiele później — jej oryginalność polegała na tym, że przykryto ją dachem

przedłużonym z nawy. Dach ten o wydatnym okapie rozszerzał się w miękki „kapelusz” — ośmiobok zwieńczony barokową latarnią z baniastą kopułką. Wokół prezbiterium i północnej ściany nawy obiegały soboty. Zwłaszcza od północy kościółek prezentował się niezwykle malowniczo dzięki dachowi, który spływając z prezbiterium na zakrystię, przechodził równocześnie na soboty — istny zastępy gontowy wodospad.

Wnętrze skromne i zachwycające zarazem. Niewielkie ołtarzyki, ambona, chór muzyczny — ot, taki sielski baroczek, na którym rozciągała się płaszczyzna stropu, barwna, bujna, niesfor-na — pozbawiona sztywnej symetrii jak stare tkaniny. Stare tkaniny lub malowane skrzynie chłopskie: to skojarzenie nasuwało się zwłaszcza przy oglądaniu prezbiterium. Tu malowidła pochodziły co prawda w większości z epoki nieco późniejszej (XVII w.), lecz powtarzały dobrze znane i mocno zakorzenione motywy zdobnictwa ludowego. Wchodzącego uderzało natychmiast podobieństwo: toć to bliski krewny Dębna podhalańskiego, Harklowej czy Małujowic — patronowa dekoracja desek, radująca oko barwnością drobnych wesołych motywów. W nawie już rozwinięta dekoracja — pomiędzy kasetonami o dużych, nieco naiwnych rozetach popiersia świętych, gotyckie jeszcze w swej płaszczyznowości i linearności. Była tam i św. Małgorzata, dostojna księżna z małym smokiem niby tresowanym pieskiem, i św. Jakub starszy, brodaty pielgrzym z kosturem wędrownym i muszlą, i św. Wacław, piękny rycerz „bez zmary i skazy” i jeszcze św. Dorota, św. Filip i św. Jakub młodszy. Wokół stropu, w zwieńczeniu obiegał napis majuskułą późnogotycką, który upraszał o błogosławieństwo *pro domum istam* i podawał cytowaną wyżej datę wykonania polichromii.

Do owego malarskiego wystroju należał i chór muzyczny, a jakkolwiek o wiele późniejszy (około 1700 r.) interesował ciekawą ikonografią — na



jego parapecie sześć kolejnych scen opowiadało o życiu i śmierci św. Wacława (kościół był pod jego wezwaniem).

W ciągu ostatnich kilku lat Śląsk poniósł dwie niepowetowane straty i to na terenie jednego tylko powiatu: w r. 1952 spłonął niedaleko od Pniowa położony kościół drewniany w Chechle. I tam znajdowała się polichromia z tegoż samego czasu. Jeszcze dwa — trzy tego rodzaju pożary, a jeden rozdział historii budownictwa na Śląsku zostanie wymazany.

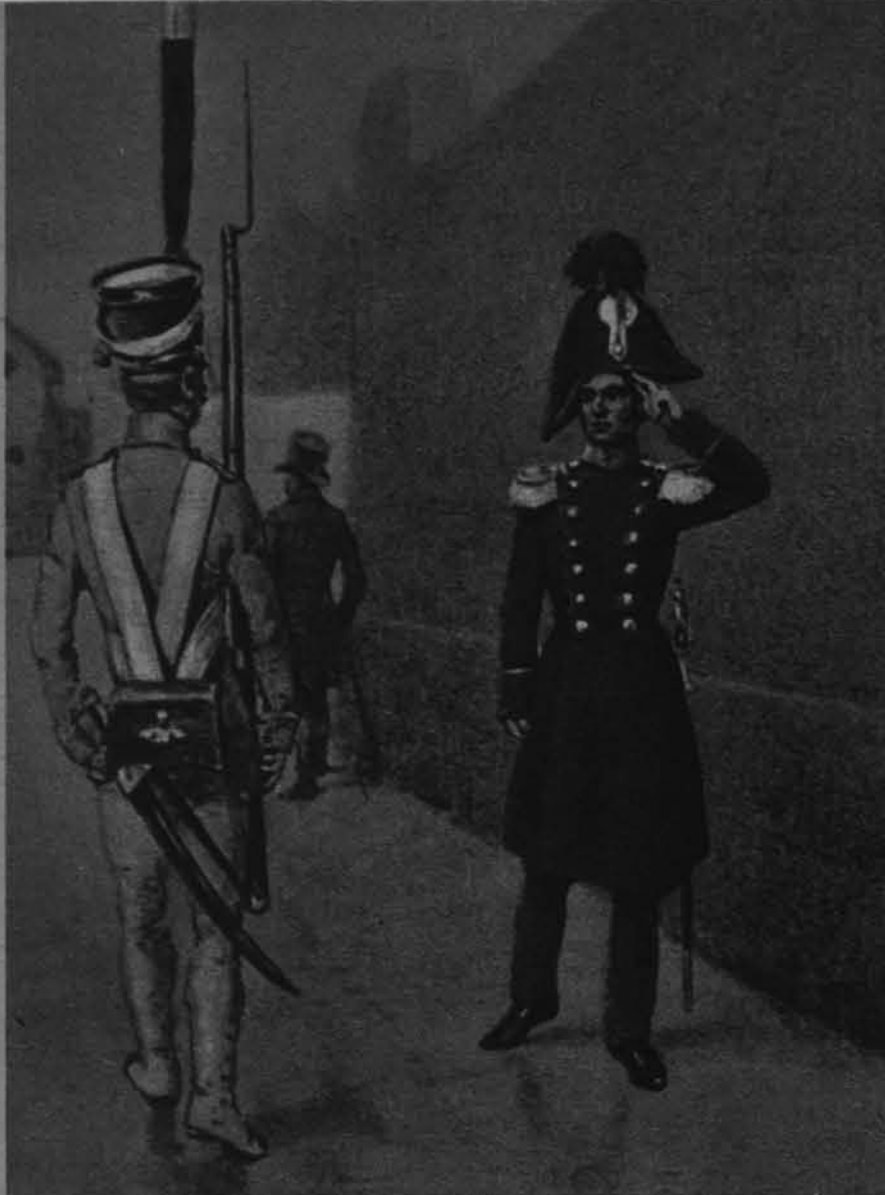
P. S. W nr 3/34 Ochrony Zabytków ukazał się artykuł również poświęcony kościółkowi w Pniowie — niestety nie pozbawiony błędów i przeoczeń. Autor pisze, że Pniów jest najstarszym kościołem drewnianym na Śląsku (1506), a nieco dalej podaje, że do tej samej

grupy co Pniów zaliczają się kościoły w Laczy (1490), Księżym Lesie (1499) i Syryni (1510). Dorzucić by tu można było kościół w Szalszy datowany na około 1460 r. W każdym razie spośród pewnie datowanych starszych od Pniowa jest chociażby kościół w Laczy, którego zewnętrzna bryła najlepiej może wśród kościołów śląskich reprezentuje najwcześniejszą zachowaną fazę budownictwa drewnianego.

Innym błędem cytowanego artykułu jest zamieszczenie zdjęcia zreprodukowanego z niemieckiej inwentaryzacji, które bynajmniej nie przedstawia wejścia do kościoła, lecz odrzwia chaty w Pniowie zwanej starą plebanią. Kościół w Pniowie nie posiadał zresztą interesująco opracowanych wejść w odróżnieniu od Laczy, gdzie ostrołukowe portale posiadają urozmaicony profil.

U góry: taka polichromia zdobiła strop nawy drewnianego kościółka w Pniowie. Poniżej: widok kościółka od południa.





Trudno nam dzisiaj nawet wyobrazić sobie warunki sanitarne panujące niegdyś w ścieśnionych, zamkniętych średniowiecznymi murami miastach. Wąskie, niebrukowane i pozbawione chodników ulice, brak kanalizacji i oświetlenia, woda dowożona beczkami z nielicznych studni — to były główne powody, dla których epidemie czy też pożary przybierały najczęściej katastrofalne rozmiary. Środki, jakie wówczas stosowano dla poprawienia sytuacji były z dzisiejszego punktu widzenia wręcz humorystyczne. Oto zarządzenie magistratu warszawskiego:

„...aby zaś przykrość mieszkającym nie była zbyt wielka, chędożący kloaki mają w drogach zachować alternatę, tak aby zawsze nie jedną drogą jeździli, ale w równej proporcji czasu wywózkę swą odmieniali...”

Nic więc dziwnego, że co zamożniejsi mieszkańcy budowali sobie chętnie domy pod miastem, wybierając na ten cel miejscowości położone możliwie blisko murów miejskich zarówno z uwagi na bezpieczeństwo w wypadku najazdu wroga, jak i łatwą komunikację w okresie pokoju. Najbardziej pożądane były oczywiście tereny znajdujące się niedaleko wody bieżącej. W Warszawie warunkom tym odpowiadały najbardziej północne okolice miasta, gdzie Wisła płynęła bezpośrednio przy wysokiej, zachodniej skarpie.

Zaraz za murami miasta, aż do puszczy młocińskiej, rozciągały się tam tereny wsi Półków, przez które przepływała nie istniejąca dzisiaj nie-

wielka rzeczka Drna, zwana niekiedy Drzasną lub Bełczą. Wypływała ona ze stawów położonych na granicy wsi Powązki (stąd nazwa ulicy Stawki), płynęła łukiem na północ, przecinała dzisiejszy tor kolejowy i wpadała do Wisły na wysokości dzisiejszego Placu Komuny Paryskiej. Rzeczka ta od najdawniejszych lat była obiektem żywego zainteresowania bogatszych mieszczan warszawskich. Budowano nad nią domy mieszkalne, zakładano młyny, stawy rybne, folusze, papiernie, browary.

Przylegająca do Wisły część terenów wsi Półków, między rzeczką Drną a murami miasta, była własnością szpitala Św. Ducha, najstarszej w Warszawie instytucji dobroczynnej, sprawującej opiekę nad starcami i kalekami. Materiałną podstawą działalności szpitala były dochody z folwarku położonego nad Drną oraz dotacje wielmożów, którzy w ten sposób usiłowali zapewnić sobie wieczne

DZIELNICA BOGATYCH MIESZCZAN

WACŁAW STERNER



Powyżej: wycinek planu miasta Warszawy opracowanego w roku 1779 przez majora Hennequin. Na planie zaznaczono kontur wzniesionej później cytadeli, oraz fortów Aleksa i Włodzimierza. Zakreślono ten obszar przedpola twierdzy, na którym władze carskie wyburzyły budynki mieszkalne.

U góry z lewej: tak wyglądały mundury grenadierów Gwardii Polskiej, którzy w czasach Królestwa Kongresowego zakwaterowani zostali w koszarach Gwardii Piechoty Koronnej na Żoliborzu.

Obok: widok na dziedziniec koszarowy i koszarę Gwardii Piechoty Koronnej wg współczesnej ryciny.



zbawienie. Z perspektywy 500 lat zabawne wydaje się nam skąpstwo, czy też może zmysł handlowy księcia Janusza Mazowieckiego, który za jeden mały młyn, co sam lojalnie podkreśla, chce zabezpieczyć zbawienie wieczne nie tylko sobie, ale również wszystkim swoim przodkom i potomkom. Oto wyjątek z aktu nadania:

...chcąc, dla zbawienia dusz naszych i przodków i naszych następców, udzielić domowego szpitala ubogim przy kościele Św-go Ducha, za murami Warszawy, nasz mały młyn koło Warszawy nad rzeczką Drzasną, daliśmy i zapisujemy na własność i na prawdziwe dziedzictwo oddajemy na wieczne czasy...

Zabudowa terenów między miastem a Drną wzmaga się w XVII wieku, gdy Zygmunt III Waza przenosi stolicę z Krakowa do Warszawy. Powstają tu liczne dworki mieszczkańskie i szlacheckie, zwłaszcza wzdłuż drogi Zakroczymskiej, a nawet pałace magnackie. W tym czasie Władysław IV buduje na skraju puszczy młocińskiej klasztor-pustelnię dla O. O. kamedułów. Wzniesiona wkrótce potem osada przyklasztorna otrzymuje nazwę Bielany, od białych habitów noszonych przez zakonników. Rozwój tej dzielnicy zostaje raptownie zahamowany w okresie wojen szwedzkich, kiedy to w wyniku żałartych walk o Warszawę, prawie wszystkie zabudowania poza murami miasta zostały spalone.

Odbudowa postępuje bardzo powoli, chociaż Jan III Sobieski polecił wybudować na północnej stronie Drny, na wzgórzu zwanym Marie Mont, pałacyk dla żony, a August II przyznał różne przywileje szpitalowi Św. Ducha. Pozostały z tego okresu tylko nazwy: Marymont na pamiątkę Marysieńki Sobieskiej i Fawory, t.j. po łacinie przywileje, jako miano szpitalnego folwarku. Zmianę przynosi dopiero połowa XVIII wieku, gdy zostaje przeprowadzona parcelacja folwarku Fawory, a właścicielami parcel stają się prywatni posiadacze. Ma to decydujący wpływ na rozwój całej dzielnicy.

Generał Stanisław Poniatowski, ojciec króla Stanisława Augusta, rozpoczyna u ujścia Drny budowę koszar Pieszej Gwardii Królewskiej, powstaje szereg nowych ulic jak Fawory, Gwardii, Bitna, Czujna, Żyzna, Tania, Zielona, przy których wznoszą zabudowania nowi nabywcy działek. Są nimi przede wszystkim bogaci mieszczańscy warszawscy (w tym bankierzy Kabryta, Łyszkiewicz, Blank, Rafałowicz), arystokracja (Lubomirscy, Radziwiłłowie, Poniatscy, Ossolińscy) i wyżsi oficerowie (Henning, Bzowski, Sztetner).

Całe osiedle przyjmuje nazwę od rozparcelowanego folwarku szpitala Św. Ducha. Decydujący wpływ na wygląd zewnętrzny Faworów miało bogactwo jego mieszkańców. Nie było więc oczywiście mowy o zwartej zabudowie ulicznej. Poszczególne budynki schowane w ogrodach, miały charakter wielkopańskich rezydencji o charakterze pałacowym, a całość przypominała pełną kwiatów i ogrodów podmiejską luksusową dzielnicę Paryża — Batignolles. Nawet służbowe mieszkania oficerów gwardii miały wystawny charakter, dostosowany do otoczenia. Oficerowi w stopniu np. podpułkownika przysługiwało 11 pokoi. Słynny plan

miasta Warszawy, sporządzony w roku 1762 przez inżyniera Ricaud de Tirregaille, podaje siedem budynków koszarowych, stojących na wysokim brzegu Wisły prostopadle do rzeki, kilkanaście mniejszych obiektów, zawierających stajnie, wozownie, magazyny i mieszkania oficerów oraz szereg ulic i budynków.

Rozkwit Faworów trwa niestety bardzo krótko. Upadek Rzeczypospolitej szlacheckiej, krótkotrwałe rządy pruskie i wojny prowadzone przez Księstwo Warszawskie doprowadziły całą dzielnicę do stanu kompletnego zaniedbania. Do dawnej świetności Fawory wracają dopiero w okresie Królestwa Kongresowego. W rozbudowanych koszarach gwardii, zwanych teraz Aleksandryjskimi na cześć cara Aleksandra I, zostają zakwaterowani grenadierzy Gwardii Polskiej i Litewskiej. Teren między ulicami Dziką i Pokorną zostaje przeznaczony przez generała Zajęczka na warszawskie „Pole Marsowe”, do dworów i pałaców wracają mieszkańcy. Najczęściej nie są to jednak starzy właściciele. Bankierzy stanisławowscy, którzy potracili swoje majątki i arystokracja, która straciła zainteresowanie dla miasta pozbawionego dworu królewskiego, chętnie sprzedają posiadane na Faworach pałace i ogrody. Nowi nabywcy reprezentują nowe warstwy społeczne, skutkiem czego sielski spokój panujący za czasów Stanisława Augusta coraz bardziej ustępuje na rzecz gwaru i ruchu miejskiego.

Nowy właściciel ogrodu i pałacu bankiera Kabryta, generał Rautenstrauch — szef tajnej policji Królestwa, urządził w nim publiczny ogród zabaw, pałac Ossolińskich został zajęty przez szpital żydowski, w szeregu dworów a nawet pałaców powstały fabryki i zakłady przemysłowe, część wolnych terenów, zwłaszcza przy ulicy Zielonej, zajęły czynszowe kamienice. Po raz pierwszy zaprowadzono w Warszawie regularną komunikację publiczną dyliżansami ze Starym Miastem i z Bielanami. Duży wpływ na nowy charakter dzielnicy miał również słynny zakład naukowy O. O. pijarów, Collegium Nobilium, wybudowany nad brzegiem Wisły, między koszarami a miastem, na placu zwanym z francuska, zgodnie z ówczesną modą, Zolibor, to jest piękny brzeg.

Bezpośrednio przed wybuchem powstania Warszawa liczyła 140.000 mieszkańców. Z tej liczby 10.000 osób mieszkało na Faworach i nic nie zapowiadało, że w przeciągu kilku lat ta tętniąca życiem dzielnica, po prostu zniknie z mapy miasta. Zdecydowało o tym stanowisko zajęte przez cara Mikołaja I, bezpośrednio po upadku powstania listopadowego, we wrześniu 1831 roku. Sztab rosyjski, analizując wówczas przebieg kampanii powstańczej, doszedł do wniosku, że i wybuch powstania i jego szybkie rozszerzenie się były możliwe tylko dlatego, iż wojska rosyjskie nie miały w Warszawie żadnego punktu oparcia, z którego mogłyby skutecznie przeciwstawić się powstańcom. Pogląd ten uzasadniano przebiegiem powstania belgijskiego, również w 1830 roku, kiedy to słaba załoga holenderska cytadeli w Antwerpii odparła wszystkie ataki po-

wstańców, zbombardowała miasto i została pokonana dopiero przez dwięciokrotnie liczniejszą regularną armię francuską. Wynikiem tych rozważań była decyzja budowy w Warszawie warowni, zlokalizowanej w taki sposób, aby całe miasto znajdowało się w zasięgu ognia dział fortecznych, a załoga mogłaby być w każdej chwili użyta do akcji ulicznej.

Carowi przedłożono do wyboru dwa projekty rozwiązania: pierwszy z nich przewidywał budowę trzypiętrowej, potężnej baszty fortecznej na placu Saskim, drugi — budowę cytadeli na terenie dzielnicy Fawory. Aprobata cara Mikołaja uzyskała drugie rozwiązanie, to jest budowa cytadeli. Zgodnie z carską decyzją do realizacji projektu przystąpiono niezwłocznie, obciążając jednocześnie pokonane miasto pełnymi kosztami budowy.

Collegium Nobilium O. O. pijarów po prostu skonfiskowano, istniejące budynki koszar Gwardii przeznaczono na zakwaterowanie przyszłego garnizonu cytadeli, a prywatnych właścicieli gruntów wywłaszczono, wypłacając im jako odszkodowanie tylko niewielką część rzeczywistej wartości terenów. Obronną ręką wyszedł z tego jedynie generał Rautenstrauch, któremu wypłacono pełną należność z uwagi na zasługi jakie położył dla

Wielkiego Księcia Konstantego jeszcze przed powstaniem.

Na początku 1834 roku cytadela była gotowa. Nieforemny pięciobok twierdzy opartej o Wisłę i zajmującej, wraz z sześcioma otaczającymi ją fortami, teren jednej z najświetniejszych niegdyś dzielnic Warszawy, przez długie lata przypominał miastu groźną zapowiedź cara Mikołaja z 1835 roku: „Dla was to, waszym kosztem, kazałem zbudować cytadelę. Skoro tylko będzie trzeba, każę miasto spalić we dwadzieścia czterech godzinach. Tak, powtarzam wam to, każę spalić i bądźcie pewni, że nie pomyślę o jego odbudowaniu... Poważnie zaciążyła cytadela zwana Aleksandrowską na urbanistycie miasta, ograniczając w XIX wieku rozbudowę Warszawy wyłącznie do kierunków południowego i zachodniego.

Dopiero w 90 lat później, po upadku cesarstwa rosyjskiego i odzyskaniu niepodległości, puste dotychczas tereny na północ od miasta, zaczynają na nowo tętnić życiem, ale nazwa „Fawory” nie zjawia się już na mapie Warszawy.

Nowa dzielnica dziedziczy swoją nazwę od placu, na którym kiedyś wzniesiono Collegium Nobilium O. O. pijarów. Jest to Zoliborz.

Wacław Sterner

OPACTWO W SULEJOWIE (DOKONCZENIE)

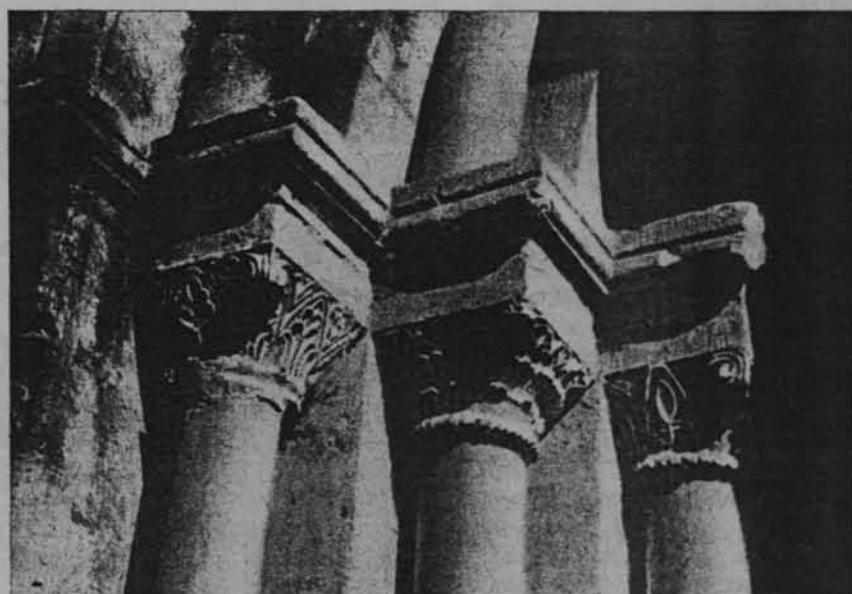
Trawione następными pożarami, niszczone podczas działań wojennych — staje się opactwo coraz żałośniejszą ruiną. Zapoczątkowane w latach 1852—61 prace konserwatorskie podjęte zostały następnie w latach 1923—25 i kontynuowane w okresie 1946—50.

Oczywiście, i w wiekach poprzednich pożary czy uszkodzenia powodowały konieczność napraw. Nie troszczono się jednak wówczas o zachowanie czystości stylowej. Przeciwnie — aż do wieku XX starano się „skromne stare mury” upiększyć i wzbogacić. Współczesne więc prace konserwatorskie nie tylko ratują zabytek od dalszego zniszczenia, ale mają mu przywracać wygląd zbliżony do pierwotnego.

W południowej części zabudowań, tam gdzie niegdyś w obrębie pałacu opackiego i dziedzińca rozmów nie obowiązywał nakaz *silentium* — dzisiaj mieści się szkoła. Zwiedzając klasztor w Sulejowie, warto poprosić nauczyciela, p. Zacheusza Misińskiego, o przewodnictwo. Jest on opiekunem społecznym zespołu zabytkowego i potrafi powiedzieć o nim więcej, niż to było możliwe w niniejszym suchym szkicu.

T. KMIĘCIŃSKA

Piśmiennictwo:
X. Mitkowski, „Początki klasztoru Cystersów w Sulejowie”, Poznań.
Swiechowski, „Opactwo Cysterskie w Sulejowie”, Poznań 1954.



Zdobione liśćmi akantu kapitele kolumn zachodniego portalu bazyliki sulejowskiej.

Natural History

ZAGADKA

GŁĘBIN

Kanikuła. Trzeba pisać o wężu. Oczywiście o morskim wężu. O nim to bowiem opowiada na łamach amerykańskiego magazynu geograficzno-krajoznawczego Richard Carrington, były lotnik RAF-u, przyrodnik i pisarz zarazem. „Wąż morski — zagadka głębin” to skrót jednego z rozdziałów jego nowej popularnonaukowej książki, opatrzonej dość niezwykle tytułem — „Syreny i mastodonty”.

„Szóstego pojawiło się straszliwe zwierzę morskie, wynurzywszy się z wody tak, że głowa przewyższała nasz główny maszt. Miało długi, szpiczasty pysk i dmuchało jak wieloryb...” — pisze norweski misjonarz Hans Egede o zaobserwowanym przez siebie potworze u wybrzeży Grenlandii. Było to w roku 1734. O węzach morskich pisano już oczywiście dawniej, tu jednak po raz pierwszy mamy do czynienia z rzeczową relacją naocznego świadka. Misjonarz pisze dalej, że potwór przypominał węża, lecz posiadał wielkie, szerokie płetwy. W 12 lat później podobne monstrum dostrzegł u norweskich wybrzeży kapitan Lorenz von Ferrer. Tu jednak stwór na karku miał coś w rodzaju białej końskiej grzywy. Raz po raz w odstępach 1 sążnia wynurzały się z wody skręty węzowego cielska. Zainteresowanie tajemniczym stworzeniem rosło. Aż nagle w roku 1808 już się zaczęło zdawać, że zagadka została rozwiązana.

U wybrzeży Orkadów odnaleziono jakoby szkielet autentycznego morskiego węża! Cóż, kiedy niebawem okazało się, że jest to po prostu szkielet jednej z odmian rekina.

W południe, 10 sierpnia 1817 r. pierwszy zobaczył go u brzegów Nowej Anglii niejaki Amos Story. Zwierzę unosiło nad wodą swą podobną do żółwiej głowę. Grube, długie ciało płynęło z szybkością około 30 mil na godzinę. Wszystko to trwało półtorej godziny, po czym potwór zniknął. Pojawiał się zresztą u wybrzeży nowoangielskich jeszcze przez szereg dni. Jeden z mieszkańców nadbrzeżnych osad usiłował go nawet zastrzelić. Napróżno. Zwierzę na moment zniknęło pod wodą, aby po chwili znów wypłynąć.

Nielada sensację wywołała w roku 1848 relacja kapitana brytyjskiego okrętu wojennego „Dedalus” i jego sześciu marynarzy. W stosunkowo niewielkiej odległości od okrętu dostrzegli oni

olbrzymiego co najmniej osiemnastometrowego węża, który sztywno wyprostowany, płynął po powierzchni fal, unosząc głowę. Był ciemnobrunatnego koloru, a z karku sterczał mu pęk jakby wodorostów. Relacja z „Dedalus” zawędrowała na łamy ilustrowanego tygodnika „The Illustrated London News” uzupełniona serią rysunków, nad wiernością których czuwał sam kapitan.

„Potworną rybę o kształtach węża” około dwudziestometrowej długości, o gładkiej skórze i niewielkich płetwach zaobserwował kapitan wraz z załogą i pasażerami parowca „Umfuli”. Zdarzyło się to w roku 1893, w pobliżu brzegów Francuskiej Afryki Zachodniej. Ryba przypominała wyglądem węgorza. Z rozwartej paszczy — jak dostrzeżono przez lunetę — sterczały szeregi zębów.

O ile jednak dotychczasowe relacje pochodziły z ust niefachowców, o tyle już w 12 lat

później rzecz przedstawia się inaczej. Oto bowiem dwaj członkowie Londyńskiego Towarzystwa Zoologicznego, płynąc na pokładzie jachtu „Valhalla” u północno-wschodnich wybrzeży Brazylii ujrzeli nagle sterczącą z wody wielką płetwę. W tej chwili z głębin w pewnej odległości przed płetwą wyrzała jak gdyby żółwia głowa na długim karku. Grubość cielska wynosić mogła mniej więcej tyle ile wynosi grubość tułowia dorosłego człowieka. Zoologowie wyrazili mniemanie, że ów zaobserwowany przez nich stwór był raczej morskim ssakiem niż gadem.

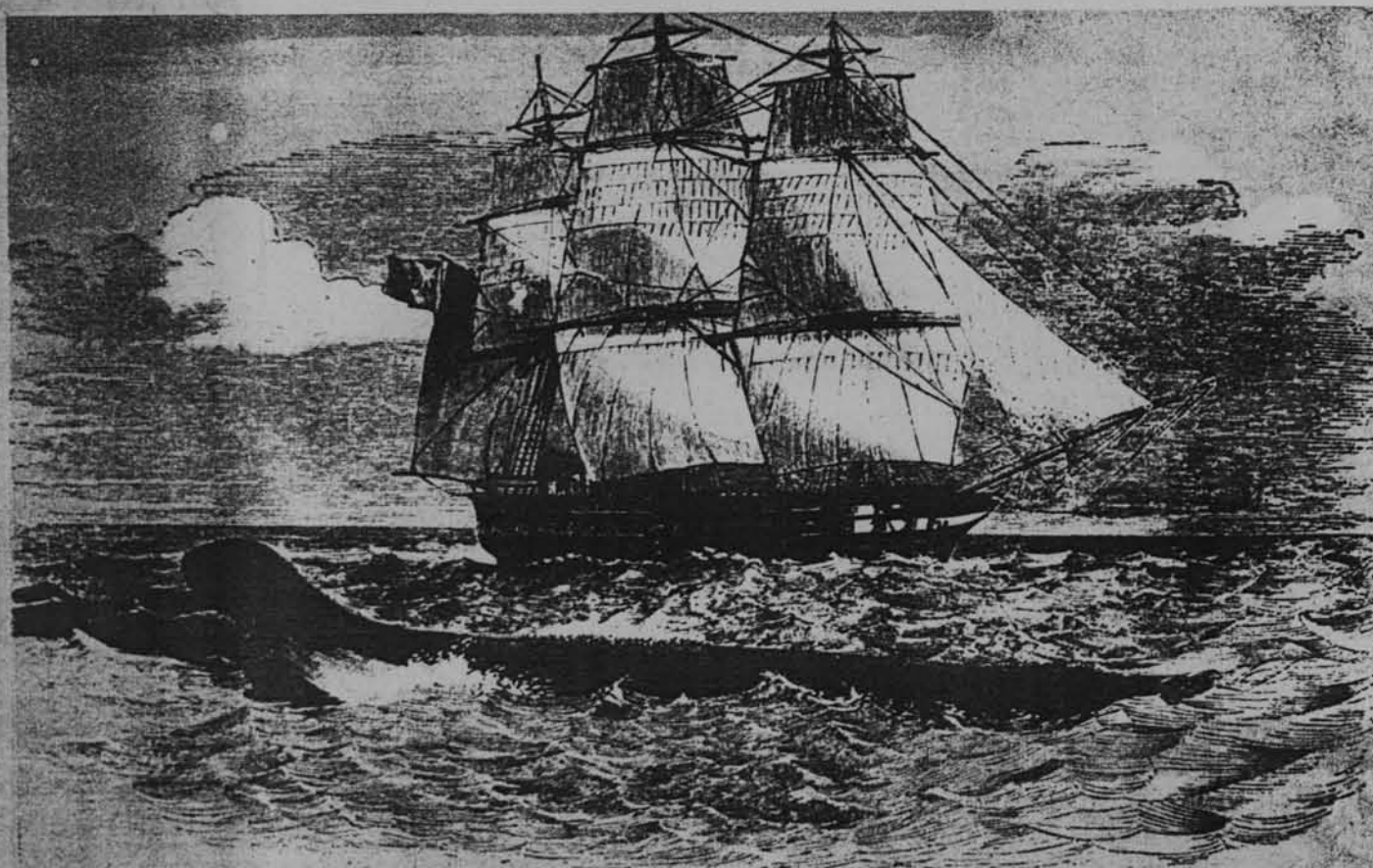
Kariera węża morskiego osiągnęła swój szczytowy punkt w latach 1933/34. W tym to bowiem czasie na powierzchni jeziora Loch Ness dostrzeżono jakoby węzowe skręty potwora. Ktoś widział nawet jego głowę. Ba, troje ludzi spostrzegło na wybrzeżu tajemnicze zwierze, w chwili, gdy pełznąc krótkimi pod rzutami przechodziło w poprzek szosy. Hotele szkockie zaroili się od dziennikarzy. Jakiś śmiałek proponował, że przepłynie w poprzek całe jezioro rzucając w ten sposób „wyzwanie Potworowi”, a komander Gould opublikował 228-stronicową książkę o Potworze z Loch Ness. Niestety. Szczegółowe opisy świadków pozwalają mniemać, że była to najzwyczajniejsza foka, która dotarła do jeziora płynąc z morza w górę rzeki Ness i która po upływie przeszło roku powróciła tą samą drogą do zatoki morskiej.

Ile prawdy tkwi w całej tej historii? Niewątpliwie szereg relacji „naocznych świadków” budzi poważne zastrzeżenia. Trudno jednak odrzucić wszystkie. Najpopularniejszy pogląd na tę nieznana istotę to hipoteza, która mówi, że wąż morski jest reliktem wielkich gadów zamieszkujących morza w erze mezozoicznej. Bardziej prozaicznym wytłumaczeniem tajemnicy są próby zaliczenia morskiego węża do okazów potężnego węgorza. Inni widzieliby w nim chętnie nieznanego bliżej morskiego ssaka, lub zgoła nową odmianę wieloryba, zbliżoną do tej, która żyła na Ziemi w okresie trzeciorzędu.

Tak czy owak wąż morski do dnia dzisiejszego pozostaje Wielką Niewiadomą Mór. Czymże już poza tym nie był w ludzkiej wyobraźni! Stalowym „Nautylusem” kapitana Nemo, tajemniczym potworem straszącym wśród mgły u wybrzeży Indochin i tak dalej i dalej. Przez długie lata lojalnie pomagał dziennikarzom w ogórkowym sezonie. Wywarł niemały wpływ na domorosłych badaczy. Powstawały prywatne teorie morskiego węża. Ale ostatnio sława węża jakoś coraz bardziej błędnie. Zdystansował go zdecydowanie himalajski Śnieżny Człowiek. Przysnajmy jednak szczerze, że sam sobie winien. Mógłby się przecież znów od czasu do czasu pojawić. Choćby na chwileczkę.

(L. Z.)

Tak miał wyglądać domniemany wąż morski, którego w r. 1848 zaobserwował na Atlantyku kapitan brytyjskiego okrętu wojennego „Dedalus”.





Pies jego jedynym

wrogiem



U góry z lewej: duński ekslibris pocztowy nadesłany nam przez Muzeum Poczty i Telekomunikacji we Wrocławiu.

Z prawej: duński listonosz oznajmia swoje przybycie dźwiękami gongu. U dołu z lewej: dawna karetka pocztowa do przewozu listów i pakunków miała kształt beczki.

Ten uśmiechnięty człowiek w czerwonym, staroświeckim mundurze i cylindrze na głowie — to duński listonosz. Postać bardzo charakterystyczna dla ulic starej Kopenhagi. Tacy listonosze krążyli ulicami dziewiętnastowiecznej stolicy, na które przez zamrażnięte szyby spoglądali Kaj i Gerda, na których tańczyła właścicielka Czerwonych Trzewiczków i tam gdzie nocą marzyła Dziewczynka z Zapałkami. Tacy listonosze krążą po tych samych ulicach i dziś, ciesząc się popularnością wśród swoich i obcych. Obok pomnika Małej Syreny czerwony mundur kopenhaskiego listonosza jest najwdzięczniejszym obiektem fotograficznym dla cudzoziemskiego turysty. Zwłaszcza w dobie kolorowych filmów.

Już 150 lat pełni służbę kopenhaski listonosz. W zeszłym roku uroczystie obchodzili oni swój jubileusz. Ich dziejami i pracą zajmuje się na łamach miesięcznika *Danish Foreign Office Journal*¹ Ib Eichner-Larsen.

Duński urząd pocztowy powstał wprawdzie o wiele wcześniej, bo już w roku 1624, za panowania króla Chrystiana IV, ale regularną służbę listonoszy na terenie stolicy zorganizowano dopiero w roku 1806. Przywilej zorganizowania „poczty pieszej” uzyskał wtedy niejaki H. C. Riegels, emerytowany urzędnik cel-

ny. W zamian za to listonosze mieli nosić barwy domu królewskiego: czerwoną i żółtą. I po dziś dzień kolory te są barwami duńskiej poczty w Kopenhadze. Czerwone są więc mundury i torby, a wozy pocztowe i rowery listonoszy — żółte. Książę regent, nadając przywilej Riegelsovi, odrzucił natomiast projekt zainstalowania skrzynek pocztowych (listy wówczas wręczano wprost listonoszowi), gdyż mogłoby to jakoby sprzyjać kawalarzom, podającym fikcyjne adresy i nikczemnikom piszącym anonimy.

Riegels rozpoczął służbę pocztową z zespołem 8 listonoszy. Listonosz taki stawał pod domem i bijąc w nie-

wielki, stale noszony w ręce gong, zwoływał mieszkańców, wręczając i przyjmując listy. Do wnętrza domów bowiem wchodzić mu nie było wolno. Początkowo „poczta piesza” rozwijała się pomyślnie, wkrótce jednak nadeszły złe czasy. Był to — jak wiadomo — okres wojen napoleońskich. Brytyjska flota obległa Kopenhagę. Obrót listowy był tak słaby, że zaczęto poważnie zastanawiać się nad likwidacją urzędu stołecznych listonoszy. Pozostało to na szczęście w sferze projektów, a kopenhaska „poczta piesza” przetrwała nie tylko wojnę, lecz również i powojenny kryzys ekonomiczny. Niemniej kiedy w 1849 r. przejął ją urząd pocztowy, liczba doręczonych przesyłek była mniej więcej taka sama jak w pierwszych latach jej istnienia. Ale wprowadzenie znaczków pocztowych i skrzynek na listy wkrótce poprawia sytuację. Liczba przesyłek rośnie, a listonosz staje się nieodłączną częścią stołecznej ulicy. Z 8-osobowego zespołu sprzed 150 lat liczba listonoszy wzrosła dziś do 1200 ludzi.

Duński listonosz traktuje wszystkich z tą samą bezinteresowną życzliwością, bez specjalnych wyróżnień. I tak np. pałac Amalienborg, siedziba dworu królewskiego, obsługiwany jest codziennie przez listonoszy na równi z innymi mieszkańcami tej dzielnicy miasta, w której się znaj-

duje. Jego Królewska Mość Fryderyk IX cieszy się tu tylko jednym przywilejem: otrzymuje pocztę również i w niedziele.

Na zakończenie parę słów jeszcze poświęca Eichner-Larsen listonoszom wiejskim. Wprawdzie w swych ciemnobłękitnych mundurach prezentują się oni mniej okazale od swych stołecznych kolegów, nie umniejsza to jednak wcale ich popularności. Wiejski listonosz to dobry znajomy a nie raz i przyjaciel, którego prosi się do domu na filiżankę kawy i który chętnie — gdy zajdzie potrzeba — poczyni „przy okazji” niezbędne zakupy w miasteczku. Dzień w dzień, bez względu na pogodę, przemierza on wiejskie drogi na swym ciężko obciążanym rowerze.

Jak więc widzimy, duński listonosz nie ma wrogów wśród ludzi. Jedyni jego wrogowie to psy i one są tu rzeczywiście poważnym problemem. Tak poważnym i obszernym, że trudno go rozwiązać w obrębie małej Danii. Winna się nim zajmą jakaś potężniejsza instytucja. Eichner-Larsen proponuje Organizację Narodów Zjednoczonych.

(L. Z.)

¹ *Danish Foreign Office Journal*, nr 22, marzec 1957. Ilustrowany biuletyn informacyjny wydawane przez duńskie ministerstwo spraw zagranicznych.



KRAJOZNAWSTWO POD WODĄ

Widok pływaków uzbrajających stopy gumowymi pletwami nie jest jeszcze na naszych plażach zbyt częsty. A już nurek, który przytwierdziwszy na plecach butle ze sprężonym powietrzem znika w wodzie, znacząc ślad swojej wędrówki banieczkami oddechu — to sensacja i zbiegowisko. Podwodne obszary są nadal dla przeciętnego turysty zamknięte. Na palcach niemal można policzyć znajdujące się w kraju aparaty do nurkowania swobodnego, możliwość korzystania z nich jest udziałem nielicznych (choć nie wybranych) a istniejąca przy PTTK organizacja pletwonurków ma charakter ekskluzywny, choć bynajmniej nie elitarny. Tymczasem na Zachodzie, głównie we Francji i NRF nurkowanie jest naprawdę powszechną rozrywką. Dzieje się to głównie dzięki temu, że liczne firmy produkują i sprzedają olbrzymie ilości różnorodnego sprzętu, zresztą na tamtejsze stosunki wcale nie taniego. Dużo by można mówić o możliwości produkcji rzemieślniczej niedrogich polskich aparatów (są już doskonale prototypy w Krakowie!) — lepiej powiedzmy nie o tym, co by być mogło, ale o tym co jest, choć na razie nie u nas.

Potęgą światową w dziedzinie handlu sprzętem nurkowym jest hamburska Barakuda. Obok innych firm reklamy firma ta wydaje ilustrowany miesięcznik *Delphin*, poświęcony wyłącznie sprawom nurkowania. Jest to zarazem oficjalny organ Związku Niemieckich Pletwonurków (VDS). Organizacja ta jest rodzajem federalnego zrzeszenia stukilkudziesięciu autonomicznych klubów o różnej strukturze, rozsiągniętych po całym obszarze Niemiec.

Lektura tego luksusowo wydawanego miesięcznika może być dla naszych krajoznawców naprawdę interesująca. Możliwość łatwego i bezpiecznego nurkowania otwarła dla poznawczych zainteresowań człowieka świat, dotychczas powierzchnią wody skutecznie zamknięty. Niemieccy nurkowie penetrują morze i jeziora, rzeki i stawy z bardzo różnych pobudek.

Jednych ciekawia znaleziska archeologiczne. Czytamy o tym w artykułach prof. Hansa Reinera (prezesa VDS) kierującego od lat wielu badaniami zatopionych na dnie jeziora Bo-

deńskiego przedhistorycznych osad palafitowych. Członkowie berlińskiej grupy Nautilus przeszukują jeziora w okolicy swego miasta. W końcu ub. roku odkryli oni na dnie jeziora Reisingen resztki „słowiańskiego mostu, prowadzącego niegdyś z wybrzeża do grodu na wyspie”.

Fauna wód interesuje niektórych nurków wyłącznie jako „łowna zwierzyna” na którą poluje się przy pomocy mechanicznych harpunów. Widać nieporównanie więcej zwolenników ma hydrobiologia, skoro niemal w każdym numerze *Delphina* zamieszcza się obszernie artykuły popularyzujące tę dziedzinę wiedzy. Są także „podwodni speleologowie”. Niedawno dwaj z nich odkryli nowe jaskinie na wyspie Capri w pobliżu słynnej Groty Lazurowej. Dostęp możliwy był tylko przez tunel, stale zalany morską wodą.

Wydaje się, że największą atrakcją amatorskiego nurkowania jest niezwykłość podwodnego krajobrazu i niezwykłość warunków, w jakich się go ogląda. Właśnie podwodny krajobraz jest tematem większości zdjęć zamieszczonych w *Delphinie*. Zaledwie część jednak wykonano w głębi wód niemieckich, które podobnie jak i polskie, są zimne i najczęściej mało przejrzyste. Niemcy chętnie więc wyjeżdżają nad Morze Śródziemne. Niektóre kluby mają nawet we Włoszech, w Grecji czy na hiszpańskich wyspach własne pensjonaty, obozy campingowe czy szkoły nurkowania. Relacje z pobytów nad ciepłym morzem są najbardziej entuzjastyczne.

Zawartości czasopisma dopełniają artykuły teoretyczne, techniczne i instruktażowe. Nurkowanie nie dominuje jednak nigdzie nad zainteresowaniami krajoznawczymi jako cel sam w sobie. Tak niestety dzieje się w niektórych naszych klubach czy sekcjach. Zjawisko to stoi zapewne w jakimś związku z ogólnym charakterem zainteresowań członków klubów.

Pismo redagowane jest tak żywo i ciekawie, że musi interesować nie tylko specjalistów-nurków. Zapewne dzięki temu skutecznie spełnia rolę propagatora ruchu amatorskiego nurkowania, pomnażając tym samym obroty przedsiębiorstwa, które edycję pisma finansuje. (P. S.)



U góry: sprawdzanie działania aparatu przed nurkowaniem. Powyżej: Anna Tubielewicz z Gdyni, pierwsza w Polsce kobieta-nurek. Obok: okładka miesięcznika „Delphin”, organu klubu niemieckich pletwonurków.



W URUGWAJU

Jedyne koło krajoznawcze w Urugwaju, o jakim nam dotychczas wiadomo, bynajmniej nie zajmuje się popularyzacją wiedzy o tym egzotycznym kraju. Obiektem jego zainteresowania jest — Polska. Jest to bowiem utworzone przez naszych rodaków-emigrantów polskie koło krajoznawcze. P. Henryk Marek Joseph, który w tym kole zajmuje się korespondencją zagraniczną, pisze do nas w jednym ze swoich listów, że koło nie jest organizacją ani stowarzyszeniem w ścisłym znaczeniu — „myśmy się dobrowolnie bez żadnych statutów złączyli”. Nasi obecni czytelnicy z Montevideo postanowili „nie stracić kontaktu z krajem i przede wszystkim ze słowem, tradycją i kulturą polską”. Redakcje czasopism *Poznaj Świat*, *Stolica* i *Morze* nadsyłają pod adresem p. Josepha swe egzemplarze, ponadto wydawnictwo MON przesyła książki. Następnie „gdy nadejdzie przesyłka z książkami lub czasopismem — kto przyjdzie, temu pożyczam takowe, ta osoba po przeczytaniu albo przynosi do mnie z powrotem, lub pożyczka dalej” — pisze p. Joseph. Wysyłamy również do Urugwaju *ZIEMIĘ*, od jej wznowienia. Nasze pismo cie-

szy się wśród krajoznawców polskich w Montevideo dużym uznaniem — piszą, że otrzymanie egzemplarza *Ziemi* jest „wielkim dniem radości” ponieważ jest to miesięcznik „bardzo interesujący i pouczający”.

Intensywna praca społeczna w kole krajoznawczym sprawia p. Josephowi satysfakcję. „Muszę powiedzieć, że praca ta jest wdzięczna i daje dużo zadowolenia. Pięknie jest widzieć, z jaką radością i pieszczotliwością biorą rodacy książkę lub czasopismo do ręki, dla niektórych jest to jedyny kontakt jaki mają z krajem. Ze my tutaj kultuwujemy polskie krajoznawstwo jest bardzo zrozumiałe, i to z tego powodu, że przeważna część naszych dzieci kraju nie zna... tym właśnie dzieciom chcemy pokazać w ten sposób nasz kraj i przyzwyczaić je do zrozumienia i kochania Polski. To samo dotyczy naszych znajomych Urugwajczyków, chcemy ich w ten sposób nauczyć rozumieć nasz kraj i ażeby nie myśleli, jak się dużo spotyka — że nie wiedzą gdzie nasz kraj leży i o jego życiu, zabytkach i innych pięknych krajobrazach też nie wiedzą nic. Z tego powodu byłoby bardzo pożądane, gdyby było możliwe otrzymanie książek o tematyce krajoznawczej, mogłyby być stare i przeczytane — dla nas miałyby tę samą cenną wartość”.

Ten wzruszający apel przekazujemy naszym czytelnikom. Mając nadzieję, że nie pozostanie on bez echa, podajemy adres, na jaki trzeba wysłać (koniecznie przesyłką poleconą) książki: Henryk Marek Joseph, Brito del Pino 1177, Montevideo, Uruguay S. A.



Brabant

REZERWATY ORNITOLOGICZNE

Opis Brabantu sprzed czterystu lat, pióra Guiccardiniego, wspomina o całym szeregu gatunków ptaków, które stanowiły wówczas przedmiot polowań z sokolami, a które dziś wyginęły na tym terenie doszczętnie. Przyczyniło się do tego — oprócz polowań — wycinanie lasów, rozwój przemysłu, wzrost zaludnienia. Aby ocalić od zagłady resztę skrzydlatych mieszkańców Belgii stworzono tam towarzystwo rezerwatów ptasich. Towarzystwo to zakupiło niektóre z bogatszych ornitologicznie terenów kraju i zamieniło je na rezerwaty, w których ptaki znajdują całkowity spokój i zupełną ochronę. Inne rezerwaty stanowią własność prywatną, ale ich właściciele zobowiązali się do chronienia ptactwa. Na obszarach będących rezerwatami nie wolno polować, a nawet wstęp do nich możliwy jest dopiero po otrzymaniu odpowiedniego zezwolenia. Dzięki tym zabiegom w niektó-

rych okolicach Belgii znów gnieźdzą się i chronią liczne piękne gatunki ptactwa. Do najciekawszych rezerwatów należą „Grootbreck” i Hofstade, tereny masowego występowania ptactwa wodnego.

K. K.



LIW i jego LEGENDY

Dzisiejszy Liw to niewielka osada, położona w powiecie węgrowskim. Sto kilkadziesiąt chałup skupionych przy szosie Kałuszyn—Węgrów i paru uliczkach, a właściwie wiejskich drogach. Nad gontowe i słomiane dachy wyrastają tylko dwie budowle: duży, neogotycki kościół i stojące nieco na uboczu, nad rzeką Liwcem, ruiny zamku książąt mazowieckich.

Podanie mówi, że zamek zbudował polski lub litewski książę dla przywiezionej z wyprawy wojennej księżnej — poganki. Liw wybrał dlatego, że mieszkało tu liczne duchowieństwo, mogące nawrócić porwaną, na wiarę chrześcijańską. W rzeczywistości było raczej odwrotnie: najpierw powstał zamek, broniący granicy polsko-litewskiej, a dopiero później w jego pobliżu rozbudowała się osada i wyrósł kościół.

Niezłomowany szperacz Wincenty Hipolit Gawarecki podawał w „Wiadomości o mieście Liwie” (1840 r.), że wewnątrz wieży zamkowej, nad górnym oknem znajduje się ułożona z kamyków data — 1112. Być może oznaczała ona rok budowy zamku, ale poprzedniego, drewnianego, o którym wiadomo, że już około roku 1279 oblegali go Jądzwingowie i za sprawą rycerza herbu Poraj zostali wprowadzeni w zasadzkę i pobici.

Na początku XV w. książęta mazowieccy rozpoczęli budowę zamku murewanego. Rozbudowano go potem na początku wieku XVI, a następnie, za sprawą Bony, w drugiej połowie tego stulecia. Zamek, założony na planie kwadratu z występną wieżą od zachodu, położony był na usypanym wzgórzu, oblany wodą. Lustracja z XVI w. wymienia także szereg budynków gospodarczych, stojących poza zamkiem na palach dębowych.

Pod osłoną zamku rozwinęło się ludne osiedle. Książę Ziemowit, panujący na Liwie ok. 1350 r., założył tu parafię i podniósł osadę zamkową do godności miasta. Ponieważ miasto stało się pastwą pożaru książę mazowiecki Bolesław wydaje w r. 1446 nowy przywilej lokacyjny, a także udziela miastu licznych swobód. Pod opieką panów na Mazowszu, a następnie królów Polski,



Tak wg dziewiętnastowiecznej ryciny (Tygodnik Ilustrowany) wyglądały ruiny zamku w Liwie.

którzy wielokrotnie potwierdzali dawne przywileje Liwu — miasto rozkwita. Lustracja z roku 1564 mówi, że było tu 350 domów, 270 rzemieślników i 104 piwowarów, a Święcicki w „Opisie Polski” pisze: „Na sejmie w Brześciu Litewskim wedle Unii Litwy z Koroną odbyłym w 1566, Walerian Protasiewicz, biskup wileński radził, aby elekcje królów Polacy pod Liwem a Litwa pod Węgrowem jako na granicy dwóch państw odbywali”.

Rozwój Liwu zahamował wzrost sąsiedniego Węgrowa. Reszty dopełnił najazd Szwedów, którym nie oparł się nawet zamek, ostrzelany w 1657 r. z pobliskich wzgórz jarnickich.

Ponowny najazd szwedzki w r. 1703 równa miasto z ziemią, a zamek obraca w ruinę, którą pozostaje do dzisiaj. Tylko w ocalałej wieży zamkowej przechowywano do połowy XIX stulecia akta ziemskie, a w r. 1782 zbudowano na południowej stronie dziedzińca budynek kancelarii ziemskiej grodzkiej. W połowie następnego wieku ulega on pożarowi.

Dziś możemy jeszcze oglądać potężną, gotycką wieżę zamkową (nakrytą w ostatnich latach dachem), fragmenty zachodnich i północnych murów, a od południa szczątki budynku wzniesionego w XVIII stuleciu. W planach Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków przewidziana jest (częściowa) odbudowa zamku, która rozpocznie się już w bieżącym roku.

Dopóki zamek tętnił życiem wyrastało pod jego opieką miasto, rozwijały się handel i rzemiosło. Później, gdy zamek opustoszał — miasto upadło. Ale za to w cieniu ruin zamkowych zrodziły się ludowe baśnie i podania. Jedno z takich podań mówi, że podziemia zamku połączone są korytarzem z piwnicami reformatów w odległym o 5 km Węgrowie. Niestety, „złe” zawaliło drogę ogromnym kamieniem, którego żadna siła nie zdoła ruszyć. Obowiązkową niejako legendą, związaną z każdymi niemal ruinami zamku, jest legenda

o skarbach. Ma też i Liw swoje skarby. Oto mieszkała kiedyś w Liwie gosposia, której kokoszka przestała się nieść w domu i nie wiadomo gdzie gubiła jajka. Doradził ktoś zmartwionej gospodyni, aby przywiązała kurze do nogi długą nitkę. Nitka zaprowadziła kobietę do zamku. Przeszła gospodyni jedne drzwi, drugie, a za trzecimi opadły ją dwa czarne psy z oczami jak rozpalone węgle. Wtem ukazała się piękna, smutna pani, odgoniła psy i zapytała gosposię, czego tu szuka. Gdy ta opowiedziała o swoim zmartwieniu, zjawia zaproponowała, że kupi niesforną kokoszkę i dała za nią cały fartuch złota. Kobieta tak się zmęczyła dźwiganiem skarbu, że ciężko zaniemogła. Na łożu śmierci opowiedziała wszystko księdzu i chciała oddać pieniądze na kościół. Ksiądz jednak pieniędzy nie przyjął, bo były „przeklęte”. Kobieta wkrótce zmarła, a pieniądze „gdzieś się podziały”.

W wierzeniach ludowych odzywają się również echa dawnych walk. Starzy ludzie widywali ponoć kiedyś, jak nocami przejeżdżają pod zamkiem żołnierze siwi niby gółbie. A chłopcy nocujący na pastwisku słyszeli szcęk broni: to polskie wojsko biło się z nieprzyjacielem, który tu poległ i pokutuje. Ma też Liw swoich śpiących rycerzy, spoczywających w jarnickich pagórkach. Wstaną oni wtedy, gdy król szwedzki przybędzie tu z wojskiem po swój kapelusz, który zgubił uciekając po bitwie. Rozgorzeje wówczas taki bój, że w Węgrowie szyby z okien wylecą, a w Liwcu krew zamiast wody będzie płynąć.

I wreszcie ostrzeżenie dla turystów: pamiętajcie, że na moście między Liwem a Węgrowem „złe” zaczepia późno idących ludzi i wyprowadza ich na bagna. Czasami przybiera postać starca, który częstuje tabaką albo serem. Kto spróbuje — tego „złe” opęta!

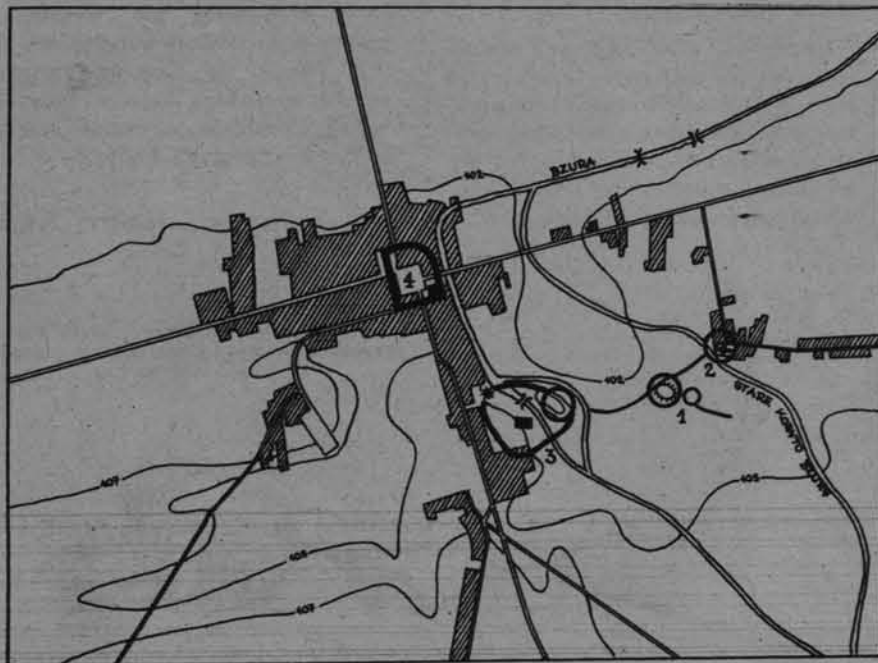
Tomasz Chłudziński



Tak dziś wyglądają widzialne od strony rzeki Liwca ruiny zamku książąt mazowieckich w Liwie. Najlepiej zachowała się baszta zamkowa.



Tum pod Łęczycą. Widok na grodzisko z wieży kolegiaty.



Łęczyca dzisiejsza (obszar zakreskowany) i piastowska:
1 — grodzisko, 2 — kolegiata,
3 — Emaus (stare miasto) 4 —
centrum nowożytnej Łęczycy.

Tum pod Łęczycą. Kolegiata
romańska z XII wieku.



ŁĘCZYCA W CZASACH PIASTOWSKICH

ANDRZEJ NADOLSKI

Łęczyca do niedawna była typowym przykładem zamierającego miasta. Pozbawiona zupełnie przemysłu, przytłoczona bliskością Łodzi, wegetowała bez większych nadziei na lepszą przyszłość. Dopiero odkrycie i oddanie do eksploatacji złóż rudy żelaznej zmieniło sytuację. Dziś na okolicznych łakach wyrastają wieże kopalnianie. Jak się pisze — „nowe życie wstąpiło w całą okolicę”, która „wkracza na drogę niebywałego dotychczas rozwoju”. Czy naprawdę niebywałego? Czy Łęczyca nie przeżywała już w ciągu swych dziejów okresu świetności i rozkwitu?

Dziwny jest krajobraz okolic Łęczycy. Trudno nazwać go pięknym. Brak lasów. Brak wzgórz i malowniczych wąwozów.

Jedyna większa rzeka Bzura gruntownie zatruta ściekami fabryk Zgierza i Ozorkowa. Na wyższych partiach terenu monotonne łany zbóż, a jeszcze częściej łany — pomidorów i cebuli. Wielki ogród warzywny Łodzi.

A w dole łąki. One to właśnie decydują o swoistym uroku łęczyckich okolic. Ogromna płaszczyna zieleni przetykanej różnorodnymi barwami kolejno rozkwitających kwiatów: rzeżuchy, dmuchawców, jaskrów, smółek, szczawiów. Białych, żółtych, różowych, czerwonych. Miejscami kępy tataraków i trzcin świadczą o tym, że łąki te (które nadały nazwę Łęczycy) były dawniej zabagnione, trudne do przebycia, niebezpieczne. Na nich to hulał niegdyś Boruta, diabeł dosyć wprawdzie dobroduszny, zawsze jednak niemiły dla zapóźnionych przechodniów, tych zwłaszcza, którzy zasiedzieli się do nocy w łęczyckich szynkach i oberżach.

Łąki, dawniejsze bagno zawdzięczały swoje istnienie wielkiej pradolinie warszawsko-berlińskiej, oraz łączącej się z nią właśnie pod Łęczycą pradolinie Bzury. Zbieg tych poważ-

nych niegdyś, a i dziś jeszcze wcale znacznych przeszkód terenowych musiał doprowadzić do powstania węzła komunikacyjnego, związanego z systemem przepraw wiodących poprzez poszczególne pasma moczarów. Z istnieniem tego węzła wiąże się z kolei rozplanowanie pierwotnego osadnictwa w rejonie Łęczycy.

Skupiło się ono początkowo głównie wzdłuż szlaku, który wiódł z południowej Wielkopolski na południowe Mazowsze i przecinał z zachodu na wschód dolinę Bzury, mijając po drodze kilka niskich, lecz suchych kęp, oblanych zewsząd bagniskiem. Na jednej z nich, tuż przy wschodniej krawędzi doliny, ulokowała się co najmniej w VIII w. n. e., a może wcześniej, obronna osada. Nie wiele o niej wiemy. Udało się stwierdzić, że otaczał ją początkowo podwójny ostrokół, zastąpiony niebawem wcale solidnym wałem drewniano-ziemnym, zaopatrzonym w oryginalnie i pomysłowo skonstruowany zasiek. Na gródku tym przemieszkawał zapewne jakiś lokalny możnowładca feudalny otoczony dworem i drużyną.

W ciągu dwu następnych wieków najdawniejszy gród łęczycki podupadł. Nie przestając być punktem oparcia dla mizernego zresztą osadnictwa utracił swoje walory militarn-



Fundamenty zabudowań opactwa z XI wieku, odkryte przez archeologów we wnętrzu łęczyckiej kolegiaty.

ne. Drewno nie odnawianych wałów spróchniało, nasypy poobsuwały się, fosa zapłynęła mułem. Gród powoli zmieniał się w grodzisko.

Radykalną zmianę tego stanu rzeczy przyniósł dopiero rok 1106. Toczyła się wówczas walka między dwoma synami Władysława Hermana: Bolesławem Krzywoustym i Zbigniewem. Bolesław w trakcie działań wojennych zajął i odbudował gród łęczycki. Odbudował go z wielkim rozmachem. Główny wał poszerzono i podwyższono, tak że osiągnął on wysokości co najmniej 10 m, przy 15 m szerokości u podstawy. Otoczono go przy tym potrójnym pierścieniem wałów pomniejszych, poprzegradzanych fosami. Na dziedzińcu grodowym wykopano dwie wielkie studnie, ocembrowane drewnem, które miały dostarczać wody mieszkań-

com i załodze. Wokół dziedzińca, pod wałami mieściły się zabudowania mieszkalne i gospodarcze. Gród łęczycki także i w tej ostatniej fazie swego istnienia był siedzibą władzy feudalnej, początkowo kasztelana, z czasem, w okresie dzielnicowym, księcia łęczyckiego. Między innymi rezydował tu Konrad Mazowiecki, panujący nie tylko nad Mazowszem, ale i nad Kujawami oraz ziemią łęczycką.

Władza feudalna świecka, kasztelańska, a nawet książęca miała jednak na terenie Łęczycy potężnego współzawodnika w postaci władzy kościelnej. W ostatnich latach X stulecia powstał na wschodniej krawędzi doliny Bzury najstarszy na ziemiach Polski klasztor. Założycielem jego był święty Wojciech a pierwszym opatem Astryk-Atanazy, późniejszy arcybiskup Węgier. Klasztor łęczycki pod wezwaniem Panny Marii i zapewne świętego Aleksego nie utrzymał się długo. Prawdopodobnie już w końcu XI wieku uległ on skasowaniu a jego rozległe włości przeszły w posiadanie arcybiskupa gnieźnieńskiego. W połowie XII stulecia w Tumie wyrosła wspaniała romańska kolegiata; w jej to wnętrzu odbywały się ogólnopolskie synody prowincjonalne. Po wojciechowym klasztoru zaginął z czasem wszelki ślad, z wyjątkiem kilku niezbyt jasnych wiadomości zawartych w źródłach pisanych. Dzięki tym wzmiankom historycy polscy mogli snuć domysły na temat powstania i losów opactwa Panny Marii; nie wiedzano jednak na pewno, czy rzeczywiście istniało ono na terenie Łęczycy. Dopiero ostatnie badania archeologiczne doprowadziły do odkrycia we wnętrzu dwunastowiecznej kolegiaty tumskiej fundamentów nieistniejącego dziś kościoła i połączonych z nim budynków klasztornych. Hipoteza historyczna uzyskała dzięki temu odkryciu silne poparcie, a Łęczycza zdo-

była nowy, niezwykle ciekawy zabytek, pochodzeniem swym związany jak najściślej z okresem krystalizacji monarchii piastowskiej.

Z różnych względów ani gród łęczycki, ani sąsiadujący z nim ośrodek kościelny nie stały się bezpośrednim załącznikiem dzisiejszego miasta. Załączka tego szukać należy na przeciwległej, zachodniej krawędzi pradoliny Bzury, w miejscu zwanym przez dzisiejszych Łęczycan „Emaus”, a jeszcze przed stu laty noszącym wymowną nazwę „Stare Miasto”. Tutaj właśnie rozwinęła się w ciągu XII w. osada targowa zgrupowana wokół nie istniejącego już dziś kościółka świętego Krzyża. Kontynuacją tej osady było miasto lokacyjne, umieszczone tam, gdzie się do dziś dnia znajduje. Szybko stało się ono najważniejszym w okolicy punktem osadniczym, zwłaszcza gdy groźny najazd litewski w końcu XIII w. spalił kolegiatę i zniszczył sąsiadujący z nim gród książęcy.

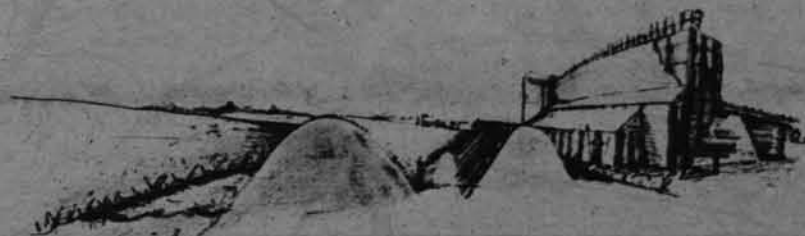
Rozwoju „nowej” Łęczycy nie zahamował łupieski napad krzyżacki z roku 1331. Odbudowana i ufortyfikowana silnie przez Kazimierza Wielkiego, wkroczyła w długi okres pomyślności, zakończony dopiero katastrofą szwedzkiego Potopu.

Uczeni zajmujący się najdawniejszymi dziejami Łęczycy i ziemi łęczyckiej niejednokrotnie starali się ustalić na jakich podstawach gospodarczych ukształtowała się ta jednostka terytorialna. Okazało się, że podstawy te były wcale różnorodne. Poważną rolę odegrało niewątpliwie rolnictwo, wykorzystujące okoliczne gleby, stosunkowo żyzne i dogodne do uprawy. Nie można też pominąć źródeł słonych występujących w rejonie Łęczycy i wykorzystywanych co najmniej we wczesnym średniowieczu, a zapewne jeszcze wcześniej. Wreszcie, co najciekawsze, archeologowie w czasie swych badań natrafili na liczne i wyraźne ślady szeroko rozwiniętej eksploatacji... rudy żelaznej. Prymitywnym wytopem żelaza zajmował się zapewne kowal grodowy, na szerszą skalę uprawiano ten proceder w „Starym Mieście” i w szeregu innych miejscowości na terenie ziemi łęczyckiej.

Badania nad tym niezwykle ciekawym problemem nie wykroczyły jeszcze poza stadium wstępne, ale już dziś wiemy, że niedawne uruchomienie łęczyckich kopalni rudy żelaza nawiązuje w gruncie rzeczy do bardzo odległych tradycji.

ANDRZEJ NADOLSKI

Zrekonstruowane przez archeologów umocnienia dwunastowiecznego grodu w Łęczycy.



Gdzie to jest? Północna ściana Eigeru czy L'Aiguille du Dru w Alpach? Kto zjeżdża na linie? Gaston Rebuffat czy Lionel Terray? Nie zgadniecie na pewno. Odpowiedź na te pytania przyniesie Wam następny (słerpniowy) numer ZIEMI.



Kto to jest? Yves Cousteau czy Hans Haas? Nie! To pionier swobodnego nurkowania w Polsce, Witold Zubrzycki, który w następnym numerze ZIEMI opowie Wam, jak poszukiwał na dnie Bałtyku wraku ORP Gryf, zatopionego w roku 1939.

